



ALEKSANDER SOWA

GÓRA BOGÓW ŚMIERCI

JEŚLI WIDAĆ ŚWIATŁO, MUSI ISTNIEĆ CIEŃ

GÓRA BOGÓW ŚMIERCI

Aleksander Sowa



© Copyright by Aleksander Sowa 2015

Okladka: Aleksander Sowa & Sabina Sagan

Zdjęcia: Aleksander Sowa

Konsultacja niemieckojęzyczna: Sabina Sagan

Redakcja: eKorekta24.pl

Korekta: Bożena i Janusz Sigismund

Specjalna edycja – darmowy fragment
z przeznaczeniem na konkurs dla czytelników portalu
paczkow24.pl <http://paczkow24.pl/>



--

Aleksander Sowa | Self-Publishing

www.wydawca.net

**Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie,
rozpowszechnianie części lub całości bez
zgody wydawcy zabronione.**

Opole, marzec 2015 r.

1.

Nagle coś się wylania ze śnieżycy. Samochód hamuje, lecz nic to nie daje: słychać głucho uderzenie. „Boże – myśli kierowca, wyskakując z wozu – zabiłem kogoś!”.

– Jak się pani czuje? Jest pani ranna? – przekrzykuje zadymkę. – Wezwać pomoc? Pogotowie? – krzyczy do wstającej staruszki.

– A cholera by cię wzięła, wariacie jeden!

– Może zadzwonić po karetkę?

– Diabli z karetką! Nie trza jeździć jak wariat! Mówię, że nic mi nie jest!

– A pani co, do cholery? – wrzeszczy kierowca. – Żeby w taką śnieżycę środkiem drogi lazić! Życie pani niemiłe?

Powietrze jest lodowate, a na linii energetycznej gwizdże wiatr. Kobieta rzuca Jakubowi wściekle spojrzenie. Jest chuda, niziutka, twarz opatulila chustką, zawiązaną pod brodą. On wsiada do samochodu, trzaskając drzwiami. Wyjmuje spod koszuli srebrny krzyż na łańcuszku.

– Dzięki ci, Panie – szepcze, całując go. – Dzięki.

Staruszka nie rusza się z miejsca. Patrzy błyszczącymi z zaciekawienia oczami. Uśmiecha się, odsłaniając bezzębne dziąsła. Jakub opuszcza szybę. Do wnętrza wdiera się chłód.

– Podrzucić panią?

– A gdzież pan tak pędzi?

– Do hotelu Korona! Wie pani, gdzie to?

– A co bym nie wiedziała? Tutejsza jestem. Droge pan zmylił. Trza było zjechać, tutaj droga już na Złoty Stok.

Kobieta gramoli się do samochodu. W jej wzroku jest coś niezwykłego. Zmarszczki wokół jej ust rozchodzą się promieniście. Twarz zniszczona, lecz oczy błyszczą jak ognie. Śnieżycy chyba się wzmacza, wiatr zawodzi głośniejsze.

– Chodnika pani nie ma!?

– Tu musi pan skrócić.

– Może do lekarza zawiozę? Obejrzy panią.

– Nie trza. Jeszcze trochę i mnie też przyjdzie się żegnać z życiem.

– Tego pani wiedzieć nie może.

– Mogę. Wiem więcej niż ci się zdaje, synku.

Jakub słyszy przez śnieżycę wycie syreny. Rozgląda się i jest prawie pewien, że na drodze, z której zjechał zgodnie z sugestią starej, przed chwilą widział niebieskie światła.

– To nie znaczy, że trzeba śmierci w szpony leżać – mówi.

– Widziałam ją, jak każdą inną normalną rzecz. Nie boję się.

Jakub spogląda na starą, ale jej oczy są bez wyrazu, puste, jak gdyby nie należały do żywego człowieka. Kundel na jej kolanach szczyrzy kły. Mężczyzna wytęży wzrok, lecz otacza ich tylko ciemność. Widzi jedynie śnieg, wirujący w szaleńczym pędzie. „W taką pogodę wszystko się może przytrafić” – myśli.

– Daleko jeszcze?

– Ano, dobrze pan jedzie. Tutaj mnie pan wysadzi. Prawie jesteśmy – kobieta wskazuje budynek. – Tam na rogu, widzi?

Jakub odwraca wzrok. Staruszka wysiada. W śnieżycy majaczy zarys ponemieckiego budynku. Nad wejściem miga nadpalony czerwony neon. Nieznajoma nachyla się do okna. Pies warczy głośno.

– Wiesz, że jeszcze możesz zawrócić?

– Na pewno nic pani nie jest?

– Więc jedzie pan...? – stara kiwa głową z dziwnym wyrazem twarzy. – To niech pan jedzie. Tamten też jechał. No, ale pan może wróci – dodaje, machając ręką, i niemal natychmiast znika.

„Jakaś wariatka” – myśli Jakub, parkując przed hotelem. Gdy wysiada, czuje, jak wiatr słabnie. Ogarnia go chłód. Postawiwszy kołnierz, mężczyzna spogląda na lewy nadgarstek.

2.

Kiedy zegar odmierza ostatni z siedmiu dzwonek, dziewczyna przed lustrem z niezadowoleniem zauważa kropkę powyżej lewej, starannie wyregulowanej brwi. Otwierają się drzwi. Wraz z przybyszem wdziera się zawodzenie wiatru. Iza wita gościa.

– Strasznie wieje. A wie pani, że dopiero tutaj się to zaczyna? – zagaduje on, odstawiając bagaż pod ścianę. – Za Nysą jeszcze piękna pogoda. Jak na kwiecień, rzecz jasna.

– Normalne. Tutaj zawsze tak jest, proszę pana.

Pogoda jej nie obchodzi. „Cholera – myśli – musiał przyjechać akurat teraz”. Będzie musiała z nim gadać, aż Paula wróci z wymienionym tamponem.

– To wszystko przez góry, no nie?

Jakub nie mógł wybrać daty wizyty, lecz miał nadzieję na łaskawszą pogodę. Kto by się spodziewał śnieżycy, jeśli od dwóch tygodni dogrzewało słońce, śpiewały ptaki i zewsząd czuć było wiosnę?

– Hm – chrząka, rozglądając się. – Miałem rezerwację na dzisiaj.

– Domyśliłam się, kim pan jest.

Szczupły, wysoki, nawet przystojny. Okulary w srebrnych oprawkach odrobinę go postarzają, lecz są świetnie dobrane. Wygląda na trzydziestolatka. Na palcu nie ma obrączki.

– Tak?

Słyszą skrzypnięcie zawiasów. Spoglądają w stronę otwierających się drzwi, lecz żarówka nagle gaśnie.

– Czekamy na pana – dobiega ich w ciemności.

W drzwiach pojawia się twarz drugiej dziewczyny. Jakub zwraca uwagę na burzę ciemnych kręconych włosów, oświetlonych nieco upiornym światłem świecy trzymanej w dłoni.

– O, dobrze, że jesteś – wtrąca Iza, odchodząc od lustra. – Ja jestem tutaj – rzuca, zakładając szalik – w zastępstwie za koleżankę.

– Właśnie – dodaje brunetka. – Musiałam wyjść.

Wiatr za oknami jeszcze przybiera na sile. Słyszą, jak przeraźliwie wyje i gwiżdże. Gdzieś ciągle skrzypi jakieś żelastwo. Zapalające się nagle światło oślepia zebranych, bo oczy już przyzwyczaiły się do ciemności. Chwilę później żarówka przygasa, a kiedy podnosią wzrok ku lampie, ta znowu zaczyna świecić.

3.

Kilkadziesiąt lat wcześniej, pewnej sierpniowej nocy, pięćset kilometrów dalej ostatnie krople deszczu dosięgają ziemi. Niebo jaśnieje, a powietrze staje się świeże i lekkie – jakby przepraszało za to, co zrobiło, i zastanawiało się, czy to już koniec opadów, czy tylko zawieszenie broni. Tymczasem maszyna przechyła się na lewe skrzydło. Pilot wyrównuje krótkim ruchem. Skupia się na utrzymaniu prędkości i kursu. Sterownica drży pod palcami, kabinę spowija oświetlenie bojowe.

– Jest kurs zrzutu! – słyszy lotnik przez radio. – Cel za minutę!

B-24 Sił Powietrznych Armii USA o numerze 191 leci zaznaczyć cel. Każdy z czterech silników pracuje równo, niczym dobrze naoliwiona maszyna do szycia. Widoczność jest doskonała, pilota dziwi, że Niemcy zaczynają stawiać zasłonę dymną dopiero teraz, kiedy amerykańskie samoloty są już nad celem. Obrona artyleryjska milczy. Brak nocnych myśliwców. Ani jeden reflektor nie maca nieba. „To dobrze” – myśli lotnik. Na srebrnym kadłubie odbija się księżyc.

– Pół minuty! – mówi dowódca. – Otworzyć drzwi bombowe.

– Luki otwarte – trzeszczy interkom.

„Sześćset maszyn” – myśli pilot. Ludzie w dole, przyzwyczajeni do bombowców latających tym szlakiem na Berlin, nie zwracają uwagi na wyjące syreny. Za chwilę będzie tu piekło.

– Dziesięć sekund! – brzmi głos dowódcy. – Dziewięć, osiem, siedem... – liczy, nie odrywając oczu od przesuwającej się pod nimi ziemi.

Pilot zaciska palce na sterownicy. Strzelcy zagryzają usta.

– Teraz! Wszystkie poszły!

Ale nie bomby: zrzucili markery, które teraz rozbłyskują w dole kolorowymi światłami. To znak dla pozostałych.

– Wszystkie weszły – słyszy pilot po chwili. – Kieruj się na kurs powrotny.

Liberator kładzie się na skrzydło, błyskawicznie reaguje na stery, niczym myśliwiec. Przed nimi drugi etap.

– Jezu! – odzywa się tylny strzelec.

– Co jest?

– Panie poruczniku! – odpowiada. – Wyspa zaraz zapadnie się w morze!

– Co się dzieje?

– Aż faluje pod eksplozjami. Zaraz rozsypie się na kawałki i zniknie z powierzchni.

– To dobrze. Mniej naszych zginie.

Sądzą, że bombardowali „zakłady przemysłowe wytwarzające aparaturę dla obrony przeciwlotniczej”, lecz się mylą. To najnowocześniejszy tajny instytut badawczy. Na decyzję o jego budowie wpłynęła lokalizacja: bliskość morza pozwala na dyskretne próby. Są tam lotnisko, bocznica kolejowa, fabryka nadtlenu wodoru, służącego jako utleniacz paliwa rakietowego, i elektrownia węglowa niezależna od krajowego systemu energetycznego.

Hitler, początkowo niezainteresowany badaniami prowadzonymi w tym miejscu, zmienia zdanie po klęsce Rommla w Afryce i Paulusa na Wschodzie. Gdy szala zwycięstwa zaczyna się przechylać na stronę aliantów, te eksperymenty stają się priorytetem. Wódz III Rzeszy zaczyna pokładać w nowej broni nadzieję, której będzie się trzymał do końca kwietnia czterdziestego piątego roku. Wierzy, że cudowna broń zdoła przechylić szalę na stronę Wehrmachtu.

Tej nocy na Peenemünde spadnie dwa tysiące bomb. Rankiem, kiedy dopalą się zgłiszcza, wszędzie będą leżały trupy i fragmenty ciał. Wielu odniesie ciężkie rany. Zginie ponad siedmiuset ludzi. Najważniejsi, w tym pierwszy człowiek projektu – doktor Wernher von Braun, przeżyją.

4.

Po śniegu, deszczu i wietrze pozostaje wspomnienie. Znika natychmiast, kiedy Jakub, podchodząc do okna, dostrzega na horyzoncie pas górski. Staje nagi

przed lustrem. Sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, siedemdziesiąt osiem kilogramów, szczupła budowa ciała. Bez tłuszczu, dzięki wegetariańskiej diecie. Oczy zielone, włosy jasne, odrobinę niesforne. Szeroka blizna na prawej piersi, jeszcze z dzieciństwa.

Mężczyzna się goli, po czym zakłada na szyję krzyżyk na srebrnym łańcuszku. „Już późno” – przemyka mu przez głowę, gdy stawia kroki na schodach.

– Widzę, że nie jest pan rannym ptaszkiem?

– Ostatni raz spałem tak chyba w kołysce – odpowiada Paulinie. – Jakub jestem.

Dziewczyna unosi brwi. Po chwili uśmiecha się i przytakuje ruchem głowy.

– Tramwajów nie ma, samochody nie trąbią... A właśnie: zostawiłem swój na ulicy. Macie tu parking? Najlepiej strzeżony.

– Pana opel jest bezpieczny – odzywa się nieznajomy.

Siedzi na kanapie, w mundurze gliny. Przez chwilę milczą, Jakub czuje, jak ogarnia go dziwne, nieprzyjemne uczucie.

– Znam tu każdego cwaniaczka – mówi policjant. – Większych zbirów pan nie uświadczy. –

Takie same oczy i czarne, choć przyprószone siwizną włosy zdradzają podobieństwo do Pauli. Mężczyzna w wyprasowanej koszuli ma wąsy, czarne jak krucze pióra. – Wszyscy w mieście jeszcze dzisiaj będą wiedzieli, żeby tego auta nie tykać.

– To mój tata – informuje dziewczyna.

– A ja jestem mamą Pauliny – słyszą mocny głos zza ścianki z kluczami. – Już idę.

Glina unosi wzrok ku sufitowi. Kobieta, która właśnie do nich podchodzi, zaskakuje pięknym porcelanowym półmiskiem pełnym kawalków sernika.

– Miło mi poznać – gość schyla głowę. – Jakub Wróblewski.

– Modrak Helena.

Wiek: niewątpliwe czterdzieści plus. Co ciekawe, brak podobieństwa do córki. Może poza wzrostem i głosem, lecz nie tuszą, bo Helena to baba w każdym calu, a raczej kilogramie.

– Henryk Modrak – teraz to glina podaje prawicę. – Podkomisarz. Podobno zamierza pan pisać o naszym miasteczku? – pyta, badawczo przyglądając się Jakubowi. Ścisną jego dłoń niczym w imadle, ale jest niewielkiego wzrostu. W zestawieniu z żoną sprawia wrażenie drobnego człowieczka. – Zauważył pan coś dziwnego w nocy?

– Henryk! – huczy kobieta. – To nie komisariat! Pan Jakub – dodaje z uśmiechem – sam ci powie o książce, jak zechce.

– Niczego nie zauważyłem. A książka to nie tajemnica. Zresztą to wcale nie książka.

– Proszę się poczęstować, sama upiekłam. Nie będzie pan przecież mówił z pustym żołądkiem.

– Bardzo dziękuję. Z chęcią, bo jestem głodny jak wilk. A właśnie: czy jest tu lokal, gdzie mógłbym się żywić? Bo...

- Pokażę ci – dziewczyna nie pozwala dokończyć.
- Opowiesz mi o tej książce.

Jakub spogląda na pozostałe porcje sernika. Nagle przerywa jedzenie: wzór na talerzu, widoczny w miejscu odsłoniętym przez rozplywający się w ustach kawałek ciasta, jest zaskakująco znajomy.

– Czyli mówi pan, że niczego nie widział ani nie słyszał? W nocy spłonęła stodoła w sąsiedniej wsi. Miałem nadzieję, że coś pan zauważył – nie daje za wygraną Modrak.

5.

Kiedy tamci, w hotelu, są już po śniadaniu, Paulina z Jakubem schodzą do rynku. Ulica, opasająca starówkę nierównym pierścieniem, stromo opada w dół. Słońce przygrzewa, po śniegu zostały kałuże i błoto.

– Możesz zacząć od książki o tej dziurze – mówi dziewczyna.

- Dlaczego dziurze? Zresztą: nie będzie o niej.
- Jak to?
- Bo to nie książka.
- Więc co?
- Praca naukowa.
- Zwariowałeś? Tutaj? O czym?
- O legendach, podaniach i tego typu historiach funkcjonujących w świadomości mieszkańców Sude-tów – kłamię jak z nut.
- Do czego ci to potrzebne?

Jakub nie chce mówić prawdy. Nie może. Poza tym sam nie jest jej pewny.

– Chciałbym awansować – zmyśla. – Takie prace jak ta są mi potrzebne. No i w pewnym sensie to moje hobby.

– Pisanie?

– Poznawanie nowych miejsc. Pisanie to efekt uboczny.

– Ja też bardzo to lubię. Tylko nie mam czego poznawać.

– Zawsze jest coś nowego. Choćby historie odwiedzanych miejsc.

– Z historii też byłam bardzo dobra. Już w podstawówce. W liceum też.

– Dlaczego nie poszłaś na studia?

– Zwariowałaś? Na studia? – prycha dziewczyna. – Nie dziw się, że mówię „dziura”.

– Niby dlaczego?

– Bo studia są dla facetów.

– Co masz na myśli?

– Ktoś musi się zająć hotelem, kiedy rodzice się zestarzeją. A ja mam znaleźć męża wśród miejscowych pijacków i zmieniać pieluchy.

– Przecież pieluchy nie pobrudzą dyplomu.

W kwietniowym słońcu oczy Pauli wydają się jeszcze ciemniejsze. „Jest w nich coś pociągającego” – myśli mężczyzna. Kiedy jej kręcone włosy rozwiewa wiatr, budzą się w nim dawno uśpione pragnienia. Towarzyszy im jakiś niepokój.

– Rodzice wiedzą, że jeśli wyjadę, to już nie wrócę.

– Dlaczego?

– Mówiłam ci: lubię historię. Wygrywałam konkursy o tym miejscu. Ono nie ma przyszłości. To zawsze była dziura. I tak zostanie, bo brak tu perspektyw. Kiedyś było lepiej, ale dziś nie jest dobrze. Za kilka lat zostaną tylko starcy.

– A turystyka?

– Zwariowałeś? To hasło dla burmistrza i radnych. Nic się nie zmienia. Po co ludzie mieliby do nas przejeżdżać? To nie Karpacz.

– Ciagnie cię w świat?

– Jak wszystkich. Dwa lata temu zdałam maturę. Powinnam być w Krakowie, Gdańsku albo Wrocławiu. Nie tutaj.

Jakub przystaje. W pewnym sensie ona ma rację, choć różnią ich punkty widzenia. Przybysz zerka na biały dom w pruskim stylu, tak inny od kamiennych murów.

– To Dom Kata – wyjaśnia Paula.

– Uhm.

– Mówiłeś, że jesteś nauczycielem. Czego uczysz?

Jakub nie chce wiele mówić o sobie. Rodzi to niebezpieczeństwo, że będzie musiał kłamać, a woli tego uniknąć.

– Mówiłeś o legendach... To może historii?

– Blisko – uśmiecha się do niej. – Prawie zgadłaś. Jestem historykiem.

– Ale?

- Akademickim. Uczę studentów.
- Mogłabym być twoją studentką?
- Czemu nie.
- Kurczę! Ale jaja – ta informacja zrobiła na niej wrażenie. – Muszę powiedzieć Izie! Czyli musisz mieć tytuł naukowy.
- Jestem doktorem.
- Zwykłym czy habilitowanym?
- Zwykłym, dopiero planuję habilitację. Po to ta praca o legendach. Zadajesz dużo pytań, wiesz? A to ja przyjechałem, by pytać.
- Przyzwyczajaj się. Zresztą: wszystkiego o tych okolicach możesz się dowiedzieć z książek.
- To, co jest w książkach, już wiem. Szukam tego, co wiedzą ludzie. A potem wykluczę przekłamania.
- Jak?
- W każdej legendzie tkwi ziarno prawdy, ale te opowieści przekazywano przecież z pokolenia na pokolenie. Ktoś coś dodał, zmyślił, ubarwił. Z czasem powstały niesamowite historie.
- Niesamowite historie? Brzmi jak dialog z horroru – śmieje się Paula. – Ale wiesz co? To dobry pomysł. Bo praca naukowa kojarzy się z zadaniami, wzorami, datami. A tu taka niespodzianka. Mile.
- Uhm... Legendy zwykle dają się tak wytłumaczyć, że nabierają sensu.
- To w ogóle możliwe?
- Zaraz ci udowodnię.
- A to ciekawe.

- Weźmy twój Dom Kata. Co o nim wiesz?
- Mieszkał w nim kat – dziewczyna wzrusza ramionami.
- To nie jest pewne.
- To skąd nazwa?
- Budynek jest zbudowany inaczej niż pozostałe. Wyróżnia się.
- No to co?
- Poczekaj. Po drugiej stronie ulicy – Jakub wskazuje ręką – jest żydowski cmentarz, tak?
- A co on ma wspólnego z katem?
- Zaraz zobaczysz. Dalej jest kościół, prawda?
- Uhm.
- Komuś mogło się kiedyś wydawać, że to dość niesamowite miejsce, no nie?
- Mogło – przyznaje Paula. – Choć to o niczym nie świadczy.
- Ale byłoby to dobre miejsce dla kogoś takiego jak kat?
- Pewnie tak.
- Owszem, tym bardziej że tutaj – Jakub celuje palcem w bramę kamiennych murów obronnych – wieżano.
- Wieszano? Jak?
- Normalnie, na szubienicy.
- No, ale za co?
- Za sztygę. Tyle że wcześniej niż powstał Dom Kata. Poza tym kat tu nie pracował. Co jednak ważne, mieszkaniac tego domu sprzedawał *Armensünderfett*.

– Co?

– Smalec ze skazańców.

– Makabryczne.

– Tak. A teraz posłuchaj: dom wygląda dziwnie, stoi obok miejsca, gdzie wieszano ludzi, cmentarza i kościoła. Mieszkał tu człowiek handlujący rzeczami skazanymi. Sprzedawał kawałki ubrań ofiar jako amulety i ludzki tłuszcz. A kat z Otmuchowa był jego szwagrem. Już wiesz, skąd nazwa „Dom Kata”?

– Myślisz, że tak było naprawdę?

– To jedna z hipotez. Kat oprócz zabijania miał inne obowiązki: zajmował się przesłuchiwaniami i torturami, wymierzał kary, zwoził z miasta padlinę. Jako jeden z nielicznych mieszczan odebrał wykształcenie. Musiał się przecież znać na anatomii, prawda?

– Fakt.

– Więc nastawiał złamania. Z czasem przyszło mu wylapywać bezpańskie psy i koty. Ale wtedy, nawiasem mówiąc – Jakub mruży oko – prowadził też miejski dom uciech.

– Rozumiem – potakuje dziewczyna i się rumieni. – A właśnie, przepraszam za ojca.

– O co mu chodziło?

– Nienawidzę go – Paula przewraca oczami. – To glina! Nawet w domu.

– Chcesz powiedzieć, że podejrzewa mnie o podpalenie?

– Zwariowałeś? Skąd ta myśl?

– Nie wiem – Jakub wzrusza ramionami. – Tak to zrozumiałem.

– Och, daj spokój. On zawsze pyta. Nie byłby sobą, gdyby tego nie robił. To choroba zawodowa – dziewczyna kreśli palcem kółeczko nad czołem i wymownie pochyla głowę. – Nie przejmuj się.

Wchodzą na rynek, przystają na wybrukowanym chodniku. Na zachodzie widać wąską ulicę z kamieniczkami z lewej i rudą z prawej. W tle jasna wieża Bramy Kłódzkiej. Mężczyzna wpatruje się w majaczący daleko, jak tło na widzianym wcześniej obrazie, ciemnozielony łańcuch górski. „Z hotelowego okna widziałem to inaczej” – myśli, nie wiedząc jeszcze, że góry mają też mroczną stronę i są pełne makabrycznych sekretów.

– A nie byłoby ci żal tych widoków? – zagaduje.

– W życiu nie ma nic za darmo, prawda?

Jakub spogląda na dziewczynę. Po chwili odwraca wzrok i widzi w oknie staruszkę ubraną na białą, która – obierając nożykiem jabłko – uważnie mu się przygląda. Do tego nie daje mu spokoju sprawa talerza. W mężczyźnie budzi się bliżej nieokreślony, tajemniczy niepokój.

6.

Czerwcowy dzień jest ciepły, lecz nie upalny. Wiatr od gór przyjemnie chłodzi twarz, kiedy wspinają się z plecakami. Dobrze się przygotowali: mają deskę, w

której rozgrzanym gwoździem wypalili alfabet i cyfry, od zera do dziewięciu.

– Tu, w rogach – mówi Genek – jest jeszcze miejsce, nie? A może byśmy wypalili jeszcze dwa słowa, co?

Cała trójka spogląda z wyczekiwaniem na Kazika, on zaś milczy. Zainteresował się tym pomysłem za sprawą niemieckiej książki. Zwróciła jego uwagę, gdy myszkował na strychu. Na czarnej skórzanej oprawie miała wyciśnięty złoty krzyżyk.

– Z prawej wypalisz „tak” – instruuje – a z lewej „nie”. Wypal też „być może” na dole i „nie mogę odpowiadać” na górze.

Gdy dwa tygodnie wcześniej dostrzegł tę datę, zapłonęły mu oczy. Tysiąc osiemset sześćdziesiąt jeden. „Prawie stuletnia książka – pomyślał – to dopiero coś! Niech tylko pokażę chłopakom!”. A potem kumple zapalili się do jego pomysłu. Sceptyczny pozostał Władeczek. Ale on, najmłodszy z wrocławskiego podwórka, a do tego o głowę niższy od reszty, wołał się nie odzywać.

Docierają na górę przed zmierzchem. Mają namiot i świece. Gdy niebo przebarwia się na purpurowo, obozowisko mają gotowe.

– Będzie wiało dziś w nocy – zapowiada Franek.

– Bredzisz. Lepiej pomóż, bo może być chłodno – rzuca Kazik, łamiąc gałęzie.

Władeczek spogląda na kij wbity w świeżą ziemię i wzrusza ramionami. „Niech będzie” – myśli, zabiera-

jąc się do układania kamiennego kręgu z paleniskiem w środku.

– A tutaj go wywołamy – mówi do Franka.

– Czemu chcesz tak daleko od ognia, i to za kamieniami?

– Nie będzie nas gryzł dym, a jasno i tak będzie – Kazik najwyraźniej na wszystko ma odpowiedź. – Za kamieniami nie będzie wiało. Nie zdmuchnie nam lampy.

Dokładnie to zaplanował, ale też okłamał przyjaciół.

Przez jego grzech dwaj z nich przed chwilą ostatni raz patrzyli na słońce. Tymczasem ognisko, rozpalone przez najmłodszego, płonie, trzaskając szczapkami pełnymi żywicy.

– Uuu! – niesie się po dolinach. – Uuu! – coś złowieszco dudni obok.

– Co to? – Władeczek się kuli. – Słyszeliście?

– No pewnie. To tylko sowa – uspokaja Kazik. – Boisz się, durniu, zwykłego ptaka?

– Nie takiego zwykłego. Dziadek opowiadał, że sowy czują śmierć.

– To tylko ptaki. Puknij się w łeb, głupku.

Tablicę ouija układają na stosie płaskich kamieni, wychodzi z tego całkiem udany stolik. Franio chwali się talerzykiem z wyszczerbioną krawędzią, zwędnym ze stołówki.

– Uuuu! – wyje puszczyk siedzący przy pniu świerka. – Uuuu!

Chłopców po kręgosłupach przebiega dreszcz. Ptak wypatruje ciem wokół ogniska, oni zaś myślą, że są gotowi. Ale na to, co wkrótce ich spotka, nie sposób się przygotować.

Kazik dorzuca gałęzi do ognia. Wolalby, aby ogień się palił, kiedy skończą. Tym bardziej że żaden z nich nie ma pojęcia, jak długo to potrwa. Są zdenerwowani, lecz tego nie okazują. Cholerny puszczyk ciągle rozdziera dziób.

– No, chłopaki – rzuca Kazik. – Już.

– Północ minęła?

– Minęła – pokazuje zegarek. – Siedem minut temu. Możemy zaczynać.

– Sekundnik ci nie chodzi – zauważa jeden z kumpli nie bez satysfakcji, bo chłopak zwykł przy każdej okazji chwalić się prezentem od bogatego ojca. – Może nie nakręciłeś?

– O, cholera, rzeczywiście. Nieważne. Wskazuje siedem po, czyli jest już jutro.

Odmawiają na klęczkach modlitwę. Kilkanaście kroków za nimi ognisko trzeszczy, trawiąc drewno. Rozpalają lampę i siadają. Ciepły blask oświeśla ich twarze. Palce opierają na brzegu talerzyka, stopy na ziemi.

– My, zebrani tutaj – zaczyna Kazik – przywołujemy ducha.

Usta pozostałych wykrzywiają się w uśmiechu, ale poważnieją pod karcącym spojrzeniem mistrza cere-

monii. Przestrzegł ich wcześniej: w książce wyraźnie napisano, że należy traktować tę sprawę poważnie.

– My, zebrani tutaj, przywołujemy ducha. Duchu – szepcze Kazik – jeśli jesteś w pobliżu, przybądź!

„Ciekawe, cholerny ptak ucihl. Może odleciał do swoich spraw?” – zastanawia się Włodek. Otacza ich cisza nocnego lasu, słychać tylko żerujące zwierzęta. Świerkowe gałązki się nie poruszają, w dali słabo migoczą światła rozrzuconych z rzadka wsi i miasteczek.

– Duchu! Wzywamy cię!

Chłopak na chwilę zawiesza głos. Patrzą na siebie. Krąg światła lampy migocze na ich jasnych twarzach. Widzą, że każdy ma pietra, ale nic się nie dzieje.

– Duchu! Wzywamy cię! Przybądź!

– Może źle to robimy? – Franek chyba już się zniechęcił.

– Wszystko jest tak, jak było w książce. Nie wiem, dlaczego duch nie przychodzi.

– Może trzeba go wywołać po imieniu?

– Zamknij się!

– Robi się zimno – wtrąca Włodek.

I nagle wstrząsa nim dreszcz. Pozostała trójka natychmiast to czuje. Przerażeni, spoglądają na kolegę. Tymczasem wokół nich robi się jeszcze ciszej. Lampka naftowa skwierczy, w ogniu pali się ćma. Czują, jak przestrzeń gęstnieje, cichnie, czeka niczym zwierzę gotowe do skoku.

7.

Patrząc na dziewczynę, Jakub myśli, że kiedyś bardzo lubił swoje zajęcie. Ta praca ma przecież dobre strony. Tyle że już na początku tak zwanej kariery stanął na rozdrożu: niewytłumaczalna duchowość przeciwko nauce. Jednego z drugim nie sposób pogodzić. Jako nauczyciel akademicki, doktor nauk społecznych, pozostawał wierny wiedzy. A jednocześnie po drugiej stronie barykady spotykał się z tym wszystkim, co tłumaczyć miał Bóg.

– Wspomniałaś o krzyżu? – spogląda Pauli w oczy.

– Co miałaś na myśli?

– A jesteś wierzący?

Mężczyzna się uśmiecha. Pytanie retoryczne... Dziewczyna ma prawo pytać, choć dawno go nie pytano o coś równie oczywistego. Tak, wierzy, w Kościół na pewno, ale czy w Boga?

– Owszem. Nie wyobrażam sobie życia bez wiary – odpowiada. – A ty?

– Wierzę – mówi Paulina. – Nie jestem szczególnie religijna, mimo to chodzę do kościoła. W takich miejscach nie można inaczej, ja jednak wierzę dla siebie.

– Rozumiem.

– I w krzyż w Kamienicy też wierzę.

– W co? – pyta Jakub, jakby nic o tym nie wiedział.

– Myślałam, że słyszałeś: we wsi pod Paczkowem na krzyżu pojawił się krwawy napis. Sensacja na całą Polskę. Byłam tam po tym, jak go zauważono. Obok stało kilka zniczy, teraz są setki. Mówią, że to znak.

– Znak?

– No wiesz, od Boga. Objawienie, jak Fatima czy Medjugorie. Dlatego coraz więcej tam ludzi. I jeszcze ta stodoła.

– Wierzysz w to?

– Przyjrzałam się, wygląda jak krew.

Ileż razy widział podobne przypadki! Na początku chciał wierzyć. Starał się łączyć religię z nauką, ale zrozumiał, że to nie ma sensu. Przekroczywszy trzydziestkę, poddał się fali, która poniosła go na obszary, gdzie Bóg nie miał już nic do powiedzenia.

– Twój ojciec myśli, że ktoś z przyjezdnych podpalił tę szopę?

– Nie o to chodzi. W pogorzelisku znaleziono jego teścia.

– Co?

– W pożarze zginął mój dziadek. – Paula unika wzroku Jakuba. – Ojciec mamy.

– I mówisz to tak po prostu, bez emocji?

– Zwariowałeś? Pewnie, że mi smutno, ale nie utrzymywaliśmy kontaktu.

– Dlaczego?

– Nie wiem – dziewczyna wzrusza ramionami. – To zawsze był temat tabu.

– A próbowałaś o tym rozmawiać?

– No pewnie. Mama się rozplakała. Nie pytałam więcej. Dużo o tym myślałam, potem się przyzwyczaiłam. Najgorzej było podczas wigilii – wzdycha. – Myślałam, że mama wstydziła się swojego ojca.

8.

Pierwszego i drugiego dnia jeździ po okolicznych wsiach. Zwiedza kościoły, ale nie zbliża się do Kamienicy, gdzie krzyż ma płakać krwawymi łzami. W Lisich Kątach znajduje czterystuletni zespół dworski z basztą, spichlerzem, gołębnikiem i kaplicą. Po czeskiej stronie ogląda zamek, potem w Gościcach i Złotym Stoku odnajduje stare strażnice WOP. Przy okazji zwiedzania sztolni w Złotym Stoku trafia na nieczynną stację kolejową. Jego zainteresowanie wzbudza fakt, że prowadzi od niej kilka bocznic w różnych kierunkach. Jak się okazuje, jedna wiodła do kopali arsenu, druga – do fabryki farb, a trzecia – do kamieniołomów. Co ciekawe, w miejscowej bibliotece Jakub trafia na mapkę, na której odnajduje czwartą nitkę, ciągnącą się w kierunku granicy z Czechami, gdzie ślad się urywa.

– Piękne te twoje góry – stwierdza, gdy spotyka się z Paulą wieczorem.

– Czasem zastanawiam się, czy nie będzie mi ich brakować.

Stoją na Wieży Wrocławskiej, którą za dwa złote udostępniono im do zwiedzania. Oglądają panoramę krzyżujących się ulic. W dali rysują się sennie szczyty Gór Opawskich, Złotych i Bardzkich.

– Może nie będę chciała pamiętać tego, czego ty teraz nie widzisz.

– Co masz na myśli?

– Wieczorem strach wyjść, bo mogą okraść albo dać po twarzy. Nie ma pracy, a jak jest, to na czarno. Za kilkaset złotych miesięcznie.

Jakub w pewnym sensie ją rozumie. W takich miejscach życie nie jest łatwe. Nic dziwnego, że młodzi pragną wyjechać. Ale tak jest wszędzie. Młodzi z Paczkowa chcą uciec do Krakowa, krakowiacy pragną Warszawy, a ci z Warszawy fantazjują o Paryżu, Mediolanie czy Nowym Jorku. Nowojorczykom marzenia wypełnia Europa. Aż wreszcie dociera się do miejsca, z którego nie chce się już uciekać. Nazywamy je dojrzałością.

– Będę tęsknić. Zwiedziłem całe Sudety. Myszkowałem w Twierdzy Kłodzko, szukałem tajniej broni Wehrmachtu w podziemiach Gór Sowich, kwatery Hitlera w Zamku Książ i skarbu na Zamku Czocho. Ścigałem nawet czarownice na Ślęży. I nic – wzrusza ramionami. – Jedyne, co znalazłem prawdziwego, to te góry.

– Fajnie masz – wzdycha ona. – Zazdroszczę ci.

Wiatr od gór wieje mocniej. Jakub zbliża się do dziewczyny, jej włosy muskają go w policzek. Uśmiecha się, lecz przez gorycz. Podróż tutaj przyniosła mu jej zapach. Tyle że zapach kobiety to woń, której on się obawia, a Paula zawsze będzie dla niego nieosiągalna.

– Ja tobie też, mieszkasz w ciekawej okolicy. Już kiedy jechałem tędy pierwszy raz, zwróciłem uwagę na te twoje góry.

– Moje?

– Te, tu – ruchem głowy wskazuje horyzont. – Złote. Wczoraj, idąc na rynek, spojrzałem w ich stronę. Pomyślałem, że musisz być świetną dziewczyną.

– Podrywasz mnie?

– Niestety, nie mogę – uśmiecha się, rozbawiony. – Ale moją uwagę przykuła ta góra. Zapamiętałem ją. Wydała mi się niesamowita. Jest w niej coś...

– Która?

– Łatwo ją poznać, ma charakterystyczne skały. Przypominają...

– Twarz? – w jej głosie chyba słychać napięcie.

– Tobie też?

– Każdy ją widzi.

– Wybierzmy się tam! Pójdiesz ze mną?

Uśmiech gaśnie na jej wilgotnych ustach. Jakub natchmian się orientuje, że powiedział coś niestosownego.

– Lepiej nie. To przeklęte miejsce.

– Przeklęte? – śmieje się on. – A niby przez kogo?

– W tym nie ma nic śmiesznego. Tam straszy.

– Straszy? A nawet jeśli, to mam świetny temat. Z drugiej strony ciągle mnie zaskakujesz. Dorosła, mądra i do tego piękna dziewczyna, a w bajki o duchach wierzy. Niebywale. Najpierw krwawiące krzyże, a teraz to.

– To nie bajki. Możesz się śmiać. Jeśli chcesz zobaczyć krzyż w Kamienicy, bardzo proszę. Ale nie tę górę. Wychowałam się tutaj. Legendy legendami, ale prawdziwa śmierć to zupełnie co innego.

– Co masz na myśli?
– To przekłete miejsce. I to nie jest legenda.
– Nie rozumiem...
– Tam kiedyś wydarzyło się coś strasznego.
– I teraz mi o tym mówisz? Opowiadaj. Lepiej nie mogłaś trafić – cieszy się Jakub.

Dziewczyna zastanawia się chwilę. Jest zła, że się wygadała. Teraz nie wie, co zrobić: powiedzieć czy przemilczeć sprawę.

– Tu mało kto chce o tym mówić.
– Dlaczego?
– Opowiem ci, ale obiecaj, że tam nie pójdziesz.
– Nie mogę ci tego obiecać.
– W takim razie nic ode mnie nie usłyszysz.
– I tak się dowiem. Rzecz w tym, że nie od ciebie – odpowiada mężczyzna, błyskając szelmowskim uśmiechem. – To smutne, bo liczyłem, że to będzie początek pięknej przyjaźni...

– Już dobrze! Podobno Szatan wpływa tam na ludzi. Dlatego miejscowi unikają tego szczytu. Nikt, kto znalazł się na nim po zmroku, nie przeżył następnych dni. Rozumiesz?

– Dziwne – rzuca Jakub zaskakująco poważnie. – Typowe, ale dziwne. Jak nazywa się ten szczyt?

– Góra Bogów Śmierci.
– O! Niezłe. Naprawdę dobre.
– Nie wierzysz?
– Ojej, od razu nie wierzę. Przecież to tylko legenda. Mówiłem ci. Dla relaksu mogę ją wyjaśnić. Nie

gniewaj się, wiesz przecież, że dla mnie legendy są nie po to, aby w nie wierzyć. W smoka wawelskiego też nie wierzę...

– Smok nikogo nie zabił.

– A Góra Bogów Śmierci zabiła?

Zamiast odpowiedzieć, dziewczyna rzuca lodowate spojrzenie. Ciało Jakuba przeszywa dreszcz, niosący ze sobą niepokój, który będzie go odtąd stale dręczył.

9.

Okoliczne wzgórza, Krzyżniak, Pasiekę, Mały i Wielki Jawornik oraz Trzeboń, zima roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego chwyciła w szpony mrozu, lecz śnieg nie spadł. Owszem, parę razy poprószyło, ale ziemia pozostała czarna do wiosny.

Tego dnia Wiesiek Zarieczny z robotnikami ze wsi pracuje w tartaku. Z kolei w trójkącie między Jawornikiem, Trzeboniem a miejscem, gdzie Złoty Jar opada w głęboką i wąską dolinę, jego brat Mietek i synowie pracują przy wyrębie.

– Będziemy wracać – mówi dorosły do dzieci.

– Wujek! – odpowiada natychmiast starszy z synów Wieśka. – To może jeszcze na mecz zdążymy?

Słońce chyli się ku szczytom. Mietek spogląda w niebo. „Za pół godziny zacznie się robić ciemno. Za godzinę będzie ćma” – myśli. Ogrzewa się przy ognisku urządzonym przez bliźniaków. Trzaski płonących gałęzi niosą się po dolinie. Bezchmurne niebo wlewa się pomiędzy pnie ciemniejącym granatem.

- Za daleko.
- A ile to jest? – odzywa się chłopak.
- Będzie z dziesięć kilometrów.

Złoty Jar zaczyna się pod szczytami i opada ku północy, razem ze Złotym Potokiem, przez niespełna sześć kilometrów. Trzeba zjechać w dół jaru, a potem odbić na Paczków i nadłożyć kolejne sześć.

– To za ile będziemy? – dzieciak nie daje za wygraną.

Cichną odgłosy walących się drzew, wyjących pól i łamanych gałęzi. Dźwięki traktorów, koni i nawołujących ludzi niosą się po dywanie zmrożonego igliwia i bukowych liści, pokrytych szronem skał i kamieni.

– Prawie dwie godziny trza jechać.

Las milczy. Nieruchomy, cichy, nieczuły. Im bliżej chwili, gdy słońce zniży się do widnokręgu i zarzuci na niebo purpurowy dywan, tym Mieczysław jest bliższy decyzji.

– To ruszajmy, wujek, może zdążymy chociaż na drugą połowę.

Kiedy bliźniacy zasypują ognisko, Mietek wciąż się waha. Jest zmęczony, a wie, że istnieje jeszcze droga przez granicę, krótsza o ponad połowę. Musieliby tylko przejechać pod tamtą górą.

– Chyba że... – zastanawia się głośno. – No bo, cholera, zaraz ciemno będzie.

– Tutaj dolina, ale jak wyjedziemy – zauważył młodszy z bratanków – to jeszcze szarówka będzie.

– No właśnie – podłapuje dorosły. – Racja.

– Wujek, a na drugą stronę da się w pół godziny przejechać? – znów pyta młodszy.

– W pół to nie, przyczepy są pełne. Ale w niecałą godzinkę tak.

– To byśmy nawet na pierwszą połowę zdążyli! – odpowiadają chłopcy w duecie.

Mietek waha się po raz ostatni. Poprawiwszy czapkę, zwiększa obroty. Wybiera krótszą drogę. Teraz dwadzieścia minut pod górę, a potem przejadą po płaskim zboczu na drugą stronę, gdzie jest ta ponemiecka droga. Za pół godziny powinno tam być jeszcze prawie jasno.

– Tylko ojcu nie mówicie, bo dopiero będzie! Ale by mi wasza mama leb suszyła!

Bratankowie milczą, rozgrzani obietnicą rychłego powrotu do ciepła, jedzenia i meczu w świeżo kupionym telewizorze. Mietek dodaje gazu. Słońce już schowało się za lasem. W świetle reflektorów widzą przelatującego nisko dużego ptaka. „To pewnie pu-chacz” – myśli traktorzysta, skupiając uwagę na kamienistej drodze.

– Choroba, trza się pilnować – mówi. – Synki! Patrzeć, bo coraz gorzej widać. A oczy macie młode.

– Ja dobrze widzę – uspokaja starszy.

Mieczysław się uśmiecha. Odpycha myśl, że za chwilę znajdą się tuż pod tym szczytem. Przekonuje sam siebie, że ciągnik nie sprawia problemu, ładunek jest zabezpieczony, a starzy ludzie po prostu lubią opowiadać niestworzone historie. „Aby do rozstaju

przy Trzech Bukach – dodaje sobie animuszu. – Dalej już z górki”. Dosłownie i w przenośni, bo tam będą najbliżej tego miejsca.

Sekundę później mężczyzna przyhamowuje, a koło w drugiej przyczepie blokuje się na moment. Mietek zerka w lusterko. Widzi tylko ciemność, bo nie podłączył przecież świateł przyczepy. Nagle coś szarpie kierownicą. Wciska hamulec. Ciągnik się zatrzymuje i, pociągnięty przez przyczepy, zsuwa z drogi. Kabina uderza w drzewo, a wysypujące się pnie ją miażdżą. Obroty silnika spadają, lecz on terkocze dalej.

10.

Starszy szeregowy Wojsk Ochrony Pogranicza Tomasz Krawiecki pochodzi z Opatowa. Jest niespełna dwudziestoletnim żołnierzem służby zasadniczej. Po zawodówce, nim dostał bilet do wojska, przepracował rok w ostrowieckiej hucie. Tęskni za domem i za dziewczyną.

Patrolując pas graniczny kwadrans po wypadku, zauważa odciski opon na zmarzniętej ziemi.

– Gościce, tu pieszy jeden – woła przez radiotelefon. – Gościce, tu pieszy jeden. Gościce, zgłoś do pieszego – powtarza, ale nasobne radio milczy. – Udaję się na terytorium Czechosłowacji – kontynuuje z nadzieją, że ktoś go jednak słyszy. – Jestem w sektorze cztery przez trzy.

Chwilę potem żałuje decyzji: między drzewami jest ciemniej niż na odkrytym pasie granicznym, Krawiec-

kiemu szkoda marnować baterie na oświetlanie drogi latarką.

– Szlag by to trafił – klnie pod nosem.

W tej samej chwili zdaje mu się, że coś słyszy. Przystaje. Noc niesie odgłos silnika. Rusza, mając przez oczyma dziewczynę, która czeka na każdy jego urlop i każdą przepustkę.

Kilka minut później żołnierz znajduje się na miejscu wypadku. Dostrzega roztrzaskany traktor i rozbite przyczepy.

– Jest tam kto? Halo! Halo!

Widzi pogiętąabinę, więc nie wierzy, że traktorzysta mógł przeżyć. „Chyba że wypadł albo wyskoczył” – myśli, okrążając wrak z latarką. Wtedy dociera do niego jęk.

– Halo! Żyje pan? – krzyczy Krawiecki, zbliżając się do kabiny, wciśniętej w pień świerka. – Proszę się odezwać! – wrzeszczy, gdy dostrzega kawałek ubrania.

– Ratuj dzieci, człowieku! – słyszy szept.

– Niech się pan nie rusza!

Nie czeka na odpowiedź. „Gdyby udało się pomóc, pewnie dostałbym z miesiąc urlopu!” – przychodzi mu na myśl. Ktoś tu być może właśnie umiera... Żołnierz zdaje sobie sprawę, że nic nie zdziała bez łączności. Cholera wie, co to dokładnie za miejsce. A tu wypadek, tamten mówi, że są dzieci. Krawiecki zerka na mapę. Po czeskiej stronie nie ma nazw, a jedynie zarys terenu, roślinność, punkty wysokościowe i najważniejsze obiekty.

– Sprowadzę pomoc – mówi i idzie szukać odpowiedniego miejsca.

Po kilku minutach na tle granatowego nieba widzi skały. Wdrapuje się na nie, rozkłada mapę, zapala latarkę.

– Gościce, tu pieszy jeden!

– Słyszę cię cały czas, pieszy jeden – trzeszczy w głośniku.

– Pomoc potrzebna!

– A co ci się stało?

– Nie mnie, traktor granicę przekroczył. Wypadek miał. Ktoś jeszcze żyje.

– A gdzie jesteś konkretnie? Ilu rannych?

– Nie wiem dokładnie. Ciemno. Człowiek w kabine mówi, żebym dzieci ratował. Z trasy patrolu zeszedłem do Czechosłowacji na czterdziestym kilometrze. Jak, doleciało?

– Na czterdziestym kilometrze!

– Zgadza się. Znalazłem ciągnik. Teraz wyszedłem na górę z mapy, jestem w kwadracie – zerka w snop światła – cztery przez trzy. Szczyt oznaczony jako sześćset dziewięćdziesiąt jeden.

Nastaje chwila milczenia. W strażnicy WOP rozdzwaniamy się telefony.

– Gościce, doleciało?

– Krawiecki, siedź na dupie. Zrozumiano?

– Taaa jest!

„Oho – myśli szeregowy – nieźle wkurzyłem oficera dyżurnego”. Daleko, w ciemnościach miga poma-

rańczowy punkt. Zarządzono alarm, ale już nie jest potrzebny: Mieczysław właśnie skonał, a chłopcy zginęli wcześniej, od razu.

– Pieszy jeden, tu Gościecie – odzywa się oficer dyżurny.

– Zgłasza się pieszy jeden.

– Słuchajcie, jeden. Możecie udzielić rannym pomocy?

– Sam nic nie poradzę.

– Przyjął. Zostańcie tam, gdzie jesteście. Wysyłam ludzi. Utrzymujcie łączność. Słuchajcie stacji, będą was wołać.

– Taaa jest!

Zadowolony żołnierz myśli o dziewczynie. Nie wie jednak, gdzie się znalazł. Po chwili zaczyna czuć się nieswojo. Do jego uszu nie dociera już odgłos silnika. „Czyżby zgasł?” – zastanawia się. Jasne, to przecież możliwe. Czas ciągnie się w nieskończoność. Kolejne spojrzenia na nadgarstek niewiele zmieniają. Szeregowemu zdaje się, że słyszy szept. Wytęża wzrok, ale w ciemnościach nikogo nie widzi. Uśmiecha się, nigdy jeszcze nie był w takim miejscu. „Będzie co opowiadać” – myśli, znów spoglądając na swego poljota.

– Co, do cholery? – mruczy. – Siedemnaście kamieni. Ruskie dziadostwo.

Krawiecki nakręcił mechanizm jak zwykle po śniadaniu, więc nie rozumie, dlaczego zegarek nagle się zatrzymał siedem po północy. Natychmiast jednak przestaje o tym myśleć, bo ogarnia go dziwne, niezro-

zumiale uczucie. Jakby nie był sam. Jego węch rejestruje ostry, wyraźny smród. Rozpoznaje go od razu – tak śmierdzieć może tylko padlina. Nie dociera do niego żaden dźwięk. Szmer, powiew wiatru, skrzypnięcie czy odgłos ptaka albo innego zwierzęcia nie istnieją. Krawieckiemu wydaje się, że stracił słuch. „Nawet ogłuszenie granatem jest inne, bo słyszałbym pischczenie – myśli. – A nie słyszę nic”. Jakby wokół zamarło życie.

– Stój! Kto idzie? – krzyczy. – Stój, bo strzelam!

Nie wiadomo, dlaczego to zrobił. Może to instynkt, a może szkolenie. Ogarnia go strach, lecz nie jest to to samo uczucie co wcześniej. Teraz coś ściska jego ciało, jak gdyby potężna siła wzięła go w ramiona. Serce podchodzi szeregowcowi pod brodę.

– Kto tam?

W odpowiedzi widzi jednie parę z własnych ust na tle księżycy wychodzącego zza chmur. Robi mu się bardzo zimno, a przecież wiele godzin spędził w lesie. I to nie tylko tu, na tej cholernej granicy, ale jeszcze jako dziecko, w rodzinnych stronach.

– Stój, bo strzelam! – grozi znów, zdejmując z ramienia karabinek.

Drżącą ręką odciąga suwadło. Zamek, powracający pod sprężyną, wprowadza nabój do komory. Suchy trzask odbija się echem niczym grzmot. Krawiecki niczego nie widzi, lecz czuje, że coś czai się tuż przed nim. Drżącą dłonią popycha w dół przełącznik ognia. Po chwili zbiera się w sobie. Ściska broń. Kładzie pa-

lec na spuście. Robi ostrożny krok w przód. Potem jeszcze jeden. Stara się dostrzec, co kryje się w mroku. Chmura zasłania księżyc. Żołnierz czuje, jak ogarnia go potworne zimno. Krok dalej pod podeszwą nic już nie ma. Rozpaczliwie poszukuje czegoś, co dałoby oparcie, ale dłoń napotyka powietrze. Oczy się rozszerzają, palec odruchowo naciska na spust.

– Ta, ta, ta, ta, ta – odgłosy strzałów przerywają ciszę otaczającą Wysoki Kamień.

Kilka kilometrów dalej wąsaty pasażer pierwszego z trzech oliwkowych UAZ-ów wyteża słuch.

– Krawiecki strzela? – pyta kierowcę.

Obaj niejedną raz słyszeli strzelający AKMS.

– Na to wygląda.

– Ale żeby cały magazynek od razu? Dziwne. No i do kogo?

Chwilę potem wopista wywołuje oficera dyżurnego, powiadamia, że słyszeli strzały. Radiotelefon szeregowego milczy, bo śmierć zamknęła mu usta.

11.

Kammler organizuje spotkanie w białym pałacyku leżącym na wschód od Wolfsschanze. Pod spojrzeniem prowadzącego znikają uśmiechy. W tym bezwzględny wzrok nie ma miejsca na jakiegokolwiek skrupuły. Mężczyzna w kurtce pilota Luftwaffe, siedzący przy wygaszonym kominku, skłania głowę, gdy wzrok von Brauna zatrzymuje się na poparzonej twarzy.

– Jak panowie zapewne już wiedzą– zaczyna Kammler – uczyniono mnie specjalnym przedstawicielem dowódcy SS przy programie, z którego powodu się tutaj zebraliśmy. Ale nie ma się z czego cieszyć. Nie jest dobrze. Weźmy się do pracy – cedzi, po czym dotyka ustami brzegu szklanki z wodą. – Sprawa jest poważna – postanawia zaprezentować pomysł mający zaważyć na losach nie tylko Rzeszy, lecz także świata. – Pewnie już wiecie, że RAF – obrzuciwszy wzrokiem zebranych, zatrzymuje spojrzenie na twarzy von Brauna – przeprowadził bombardowanie, które zniszczyło Peenemünde. – milknie, by wywołać większy efekt. – Niektórym z nas ledwie udało się ująć z życiem, czyż nie, panie doktorze?

– Nie wszyscy – odpowiada von Braun – mieli tyle szczęścia co ja.

– Dzięki Bogu nas ono nie opuściło. Nie wszystko zniszczono. Niemniej bombardowanie oznacza, że nasi wrogowie wiedzą już o istnieniu ośrodka.

– Co chce pan przez to powiedzieć?

– Potrzebna nam nowa lokalizacja.

– Ma pan jakieś propozycje? – mówiąc to, von Braun ściera jedwabną chusteczką pot z czoła.

Przez następne minuty Kammler referuje, zmieniając mapy. Przedstawia śmiałą koncepcję: Wehrmacht do końca roku wycofa się za linię Witebsk–Kijów–Odessa. Na sali pojawia się szmer przerażenia. Większość zebranych jednak milczy. Kammler tymczasem snuje szaleńczą wizję, według której za rok, w grudniu

czterdziestego czwartego roku Armia Czerwona przekroczy linię Curzona, wyprze Wehrmacht za Wisłę i oprze front o Karpaty. Kolejna mapa zakłada utratę Słowacji, Rumunii, Węgier, Bułgarii i Czechosłowacji na południu oraz opiera front brzeg Odry na północy. To nie wszystko! Następna mapa, tym razem basenu Morza Śródziemnego, przedstawia utratę Włoch, co nie jest znów aż tak nieprawdopodobne.

– Ależ! – oburza się ktoś z sali. – Zbyt duże czarnowidztwo pan nam tu prezentuje!

– Panowie! – wtrąca się Speer – proszę pozwolić oberführerowi skończyć.

Spojrzenia Speera i Kammlera się spotykają. Inni także spoglądają po sobie, zdziwieni.

– Proszę posłuchać – ciągnie spokojnie Kammler. – Alianci już wylądowali na Sycylii. Mussoliniego osunięto od władzy. Jest uwięziony, a wyspy mimo twardego oporu nie udało się utrzymać. Uważam, że uderzenie wroga na Półwysep Apeniński to kwestia dni.

Następne mapy przedstawiają sytuację z trzecim frontem na północnym wybrzeżu Francji. Pokazując ostatnią mapę, na której terytorium Rzeszy kurczy się do granic sprzed trzydziestego ósmego roku, Kammler nie pozostawia wątpliwości.

– Czyli twierdzi pan, że do końca czterdziestego piątego przegramy? – pyta Speer.

– Nie, ale uważam, że powinniśmy być dalekowzroczni. Dla dobra Niemiec.

– Jaki to ma związek z nami? – chce wiedzieć von Braun. – Przecież nie jesteśmy żołnierzami.

– Właśnie! Jak wspomniałem – wyjaśnia Kammler – konieczne jest przeniesienie waszego projektu w bezpieczne miejsce.

– Ale co to znaczy? – wtrąca się Hermann Oberth. – Bezpieczne miejsce? Przecież alianci są w stanie dolecieć i rzucić bomby w każde miejsce!

Kammler nigdy nie lubił tego skurwysyna. Choler-ny austriacki fantasta! Ale nie można tej świni zarzucić, że jest głupcem. Nie dość, że ma pieprzoną rację, to jeszcze jest bardzo ważny dla projektu.

– Cóż – wzdycha specjalny przedstawiciel. – Tak, panie doktorze. Gdybyśmy znaleźli się w aż tak trudnej sytuacji, to gdziekolwiek przeniesiemy waszą pracę, będzie zagrożona bombami. Dlatego proponuję ulokować ośrodek tutaj – wskazuje szpicrutą rejon na mapie. – Kiedy wykujemy tunele w skałach, zalejemy wejścia betonem i przystosujemy obiekt do długotrwałej obrony, to nasze twierdze będą nie do zdobycia. Zresztą – macha ręką – już mamy tunele. Od lat istnieją tam przecież kopalnie. Wystarczy, że je rozbudujemy. Żadna bomba nie jest w stanie przebić sześćdziesięciu metrów skały. A w górach mamy surowce, które są do realizacji naszego planu niezbędne.

– Czy to oznacza utratę Berlina? – pyta Oberth.

– Możemy się przygotować na przetrwanie najtrudniejszych chwil poza stolicą. To pozwoli nam zyskać na czasie i doprowadzić plan do końca. Wtedy

odzyskamy nie tylko Berlin. A zatem, panie von Braun? – kontynuuje Kammler. – Kiedy będzie pan gotowy?

– Ach – ciężko wzdycha naukowiec. – To bardzo trudne pytanie.

– Proszę spróbować.

– Prawdę mówiąc – jaką się doktor – potrzeba nam jeszcze czasu. Prawda, panowie? – zwraca się do współpracowników.

Ernst Steinhoff, Oberth, Tessmann, a nawet milczący generał Dornberger kiwają głowami. Wszyscy zdają sobie sprawę, że zniszczenie ośrodka opóźni ich pracę co najmniej o kilka miesięcy. Może pracowałiby lepiej, gdyby nie rezerwa, z jaką jeszcze niedawno odnosił się do ich prac Hitler.

– Pozostaje jeszcze wiele nierozwiązanych problemów. Niemniej mam nadzieję, że na początku przyszłego roku. Zaznaczam: nie ma pewności, czy będzie ona w pełni gotowa do bojowego użycia.

– Dlaczego?

– Potrzebne są środki – zabiera głos generał. – Tymczasem sukcesywnie się ich nam odmawia.

To policzek dla Speera, który natychmiast czerwienieje. Prawda jest bowiem taka, że faktycznie odmawiał wsparcia dla programu. Nic dziwnego, bo mrzonki Hitlera o cudownej broni pochłaniają miliony, a za to można wyprodukować dziesiątki czołgów, dział i samolotów.

– Środki będą – odpowiada. – Ma pan moje słowo. Sytuacja się zmieniła, prace ruszą natychmiast. Zajmie się tym Organizacja Todt, ale zapytam wprost – spogląda natarczywym wzrokiem na von Brauna. – Czy jesteście w stanie dać broń, która pozwoli nam na zwycięstwo?

– Bez wątpienia.

– Kiedy? – dopytuje. – Kiedy będzie gotowa?

– Za dwa, trzy lata – odpowiada von Braun i nastaje cisza.

Tak oto rozpoczęła się nowa karta w historii II wojny światowej. Kilka godzin później zapadną rozkazy dotyczące budowy tajnej kwatery Hitlera w sudeckim kompleksie Riese oraz przeniesienia linii produkcyjnych tajnej broni do sztolni drążonych w górach. Ten szalony projekt przypłaca życiem tysiące więźniów w kilkunastu obozach pracy na terenie Niemiec, Austrii i dzisiejszej Polski.

12.

Planując wywoływanie ducha, Kazik zamierzał się tylko zabawić. Zorganizował wszystko tak, aby było bezpiecznie. Szczególnie dokładnie przemyślał wybór miejsca, gdzie znajdzie się ogień. Nie wiedział, że Władeczek ma duże zdolności parapsychiczne. Zresztą najmłodszy z nich, jak większość podobnych mu ludzi, sam nie zdawał sobie z tego sprawy.

– Cholera jasna – marudzi Władeczek tymczasem – zmarzłem. Siedzimy tu jak durnie, urządzamy głupie

zabawy... Po jaką cholere usiedliśmy tak daleko od ognia? Zimno mi. Wracajmy do ognia.

– Nie! Poczekaj – ostrzega Kazik. – Nie wstawaj, nie rozrywaj kręgu. Jeszcze chwilę i kończymy.

– Mnie tam jest ciepło – wtrąca Genek.

– Cicho! – ucina rozmowy Kazik. – Duchu, jeśli przybyłeś, daj nam znak, że jesteś.

I wtedy dostrzegają poruszający się talerzyk. Widzą wyraźnie, jak przesuwają się wolno po planszy. Wzdłuż kręgosłupów biegną im dreszcze. Władeczek nie może opanować drżenia rąk, Kazik nie rozumie, co się dzieje. Zerka na ogień.

– Ej! Chłopaki! – mruży Franek. – Dajcie spokój.

Wokół coś się dzieje. Dopada ich cisza, jakiej jeszcze nigdy nie doświadczyli. Przypomina tę chwilę, gdy w wannie zanurza się głowę i wraz z wodą w uszy wlewa się nicość. Lodowate powietrze, wciągane z każdym wdechem, jest ciężkie. Szczyt spowija gęstniejąca mgła. I ten odór.

– Za późno – odzywa się mały. – On już jest z nami.

– Też to widziałem – szepcze Kazik. – Przysięgam, nie przesuwalem talerzyka.

– Ja też nie – dodaje przestraszony Genek.

– Jezu! Właduś – jęczy Kazik – przyznaj się. To ty?

– Nie chodzi o talerzyk. Nie umiem tego wyjaśnić, ale to czuję. On tu jest.

– Kto? – mówi Kazik. – Kto tu jest?

Metalowa menażka przewraca się, wywołuje przeraźliwy hałas. Kilka metrów dalej butelka z wodą spada z kamienia. Ognisko strzela ogniem, jak gdyby ktoś podlał je ropą. Pęka sucha gałąź.

– On.

– Jezul! – stęka blady Genek. – On naprawdę nie zalewa!

– Uspokójcie się, co cholery! – Kazik stara się zapanować nad sytuacją. – Przecież sami tego chcieliśmy, tak?

– Ty chciałeś – mruczy Włdeczek.

– Nie zmuszałem was. Doprowadźmy to teraz do końca.

Jest zadowolony. Ogień pali się mocno, tak jak im teraz trzeba. „Wszystko przebiega zgodnie z planem – myśli pomysłodawca seansu, zerkając na ognisko. – Tylko Włdek jakiś dziwny. Pewnie to strach”.

– Kazik ma rację – popiera kolegę Franek.

– Dobra – zgadza się Genek. – Chyba nie mamy wyjścia.

Spoglądają na przerażonego malca. Ręce wciąż drżą mu jak w febrze. Kiwa głową, a jego twarz wygląda, jakby zmieniała się w demoniczną maskę.

– W takim razie – uroczyście mówi Kazik – duchu, powiedz, kim jesteś.

Talerzyk wyrывa się spod ich palców i uderza chłopca w brzuch. Ten pada na plecy, jęcząc z bólu. Pozostali zrywają się na równe nogi. Ale nie mały Włdeczek, on leży na plecach.

– Aargaroth – odzywa się, ale to nie jego głos.

Kazik na klęczkach, trzymając się za brzuch, unosi głowę. Pozostali dwaj zatrzymują spojrzenia na malcu. Ten zaś wywala oczy w górę, widać tylko białka. Gardła ściska wszystkim obręcz strachu, tak przeraźliwego, jaki można poczuć tylko raz w życiu: tuż przed własną śmiercią.

– Pomóżcie! – rzuca Kazik, przesuwając się w kierunku Władeczka. – Coś mu się stało?

W ogniu coś syczy, niczym upuszczane powietrze. Ognisko przygasa. Ciemność potęguje strach do granic obłędu. Franek chwytając lampę, podkręca knot. Ich blade twarze oświetla jasny, upiorny blask.

– Co to? Slyszeście? – pyta Franek z przerażeniem.

Słyszą kroki. Wyraźne, na tyle głośnie, by nie pozostawiać wątpliwości. Trzeszczą łamane gałęzie. W kręgu światła lampy chłopcy widzą poruszające się gałęzie i drzewa. Nie są już sami. Ktoś chodzi wokół.

– Musimy coś zrobić! – wrzeszczy Franek. – Słyszysz? – rzuca w kierunku Genka. – Zrób coś z nim!

Genek jednak jest sparaliżowany strachem. Nie może wykrztusić z siebie ani słowa, a cóż dopiero dotknąć kolegi, który najwyraźniej postradał zmysły. Gdy zauważają ciemniejącą plamę na nogawce Genka, uświadamiają sobie, że to nie zabawa.

– Kazik! – apeluje Franek – To ty go wołałeś, więc go odwołaj! Odwołaj ducha. Odwołaj, do cholery!

Przerażony Kazik spogląda na kolegę trzymającego lampę. Kiwa głową. Wie, że to jedyne wyjście. Wie też, że sytuacja wymknęła się spod jego kontroli.

– Siadajcie – poleca. – Duchu – mówi płaczliwie – udaj się, skąd przybyłeś. Duchu...

– Aargaroth – znów słyszą głęboki, skrzekliwy baryton z ust Władka, po czym chłopiec mruga oczami, jakby się właśnie obudził.

Gramoli się z ziemi jak bokser na ringu trafiony sierpowym. Spoglądają po sobie, nic nie rozumiejąc. Szelesty cichną, krzaki i drzewa przestają się ruszać. Wraca spokojna wiosenna noc w górach. Ogień znów zaczyna się palić. „Już po wszystkim” – myślą. Ogarnia ich odprężenie.

– Jezus Maria! – mruczy Kazik, zerkając na ognisko – Ale miałem pietra!

– Władek, co ci się stało, do cholery? – wtrąca się Franio. – Zemdlaleś ze strachu?

Mały milczy, przecierając oczy. Z zażenowaniem spoglądają na portki Genka. Ten nadal się trzęsie.

– Uff – wzdycha Kazik. – Dobrze, że to się już skończyło.

– Co za kretyński pomysł! – mruczy Franio. – Co się stało? Możesz mi to wyjaśnić?

– Spójrz – Kazik wskazuje skołowanego malca i Genka w zeszczanych spodniach.

„Nie tak miało być” – myśli. Ale nie ma już wyjścia, musi doprowadzić plan do końca, a jest pewien, że nie zostało już wiele czasu.

– Dobrze, że jesteśmy bezpieczni – mruczy Genek, wstając z kręgu.

– Nie wstawaj!

Nie słyszą już tego jednak. Noc rozdziera potworny huk. Dzieje się to, co Genek przed chwilą widział w myślach: nieznana siła odrywa mu oba ramiona, a jego ciało w mgnieniu oka staje się żywą pochodnią. Władeczek leży na ziemi z roztrzaskaną czaszką. Nad ich głowami rozpędza się wiatr. Las dziko tańczy pomiędzy płomieniami, strzelającymi na kilka metrów. Drzewa wirują w szaleńczej karuzeli.

Kazik i Franek rzucają się do ucieczki. Pędzą na oślep, byle dalej. Chwilę potem na ziemię spadają pierwsze krople deszczu. Granatowe niebo przecinają błyski, grzmoty przewalają się z potwornym echem przez doliny. Chłopcy w ciemnościach przewracają się, ranią, obijają o pnie. Tych, którzy zostali na szczycie, na zawsze otacza ciemność.

13.

Pióra przelatujących nad nimi gołębi cicho świszczą. Na horyzoncie dym wolno unosi się białymi kłębamami w lepkim powietrzu. Dobiegają ich krzyki dzieci, odgłosy przejeżdżających samochodów, szczekanie psa. Jaskółki latają nisko. W dali bicie dzwonów.

– Paula, jaki demon? Nie bądź śmieszna!

– Nie jestem. To prawdziwa historia.

– No dobra – Jakub włącza analityczne myślenie. – Powiedziałaś, że poszli we czterech. Wrócili we dwóch?

– Tak.

– A co się stało z tymi, którzy nie wrócili?

– Nigdy ich nie odnaleziono.

– To niemożliwe.

– Naprawdę!

– Kiedy to było?

– Chyba w latach sześćdziesiątych. Możesz zapytać taty.

– Dobrze – mruczy mężczyzna – przypuśćmy, że to prawda. Co zatem powiedzieli pozostali dwaj, jak już demon opuścił ich ciała? – drwi.

– Nigdy ich nie opuścił.

– Co?

– Nic nie powiedzieli.

– Jak to możliwe? – pyta Jakub z irytacją. – Zastanów się: przecież jeśli dwóch młodych ludzi zaginęłoby w górach, poszukiwaliby ich rodzice. Pozostała dwójka musiałaby zostać przesłuchana przez milicję! Nonsens!

– Poszukiwano ich – denerwuje się dziewczyna. – Milicja, pogranicznicy, strażacy i ludzie z okolic przez kilka dni przeczesywali góry. Ale nic nie znaleźli.

– Nie wierzę. A tamci co? Oglądali telewizję, tak? I ani pary z ust?

– Zostali opętani.

– Opętani?

– Trafili do szpitali. Jeden był w potwornym stanie.

– O! – znów drwi on. – Dobrze. Mocne. Bardzo dobre.

– Wiem tylko – dodaje Paula – że w kółko powtarzał jakieś słowo.

– Jakie?

– Nie pamiętam. Dziwne. Brzmiało jak nazwa jakiegoś bóstwa.

Jakub kręci głową, lecz gdzieś głęboko czuje niepokój. Coś przypominającego delikatne ukłucie igielką. Mimo wszystko to, co opowiedziała Paulina, nie jest tak zupełnie nieprawdopodobne. Kto jak kto, ale on wie, że Kościół zna wiele podobnych przypadków. Abstrahując od oszustw, niezmiernie rzadko, ale jednak trafia się coś, co zdrowy rozsądek i naukowcy uznaliby za niemożliwe.

– Śmieję się, śmieję – mówi dziewczyna. – Ciekawe, co powiesz, jak usłyszysz, co było dalej.

– A, przepraszam. Myślałem, że to już koniec.

– Obaj zginęli osiem dni później.

– Mówisz poważnie?

– Najpoważniej w świecie. Ani przez chwilę nie żartowałam.

– Hm – chrząka Jakub. – Ciekawe, ciekawe. Dobrze byłoby to sprawdzić.

– Tylko jak?

– Na początek – odpowiada, wpatrzony w tajemniczy szczyt – powinienem się tam wybrać.

– Zwariowalesz? – niemal wrzeszczy Paula. – Chcesz tam iść?

– Chcę, bo co?

– Bo nie skończyło się na tej czwórce.

– Co masz na myśli? – niepokozi się mężczyzna.

– Zanotowano jeszcze inne przypadki niewyjaśnionych zgonów.

– Naprawdę?

Tym razem Jakub czuje, że opowieść dziewczyny to coś więcej niż jeszcze jedna legenda wymyślona na potrzeby turystów.

– Zginął tam pewien pracownik leśny. A z nim dwóch chłopców, bracia bliźniacy. Tej samej nocy znaleziono w pobliżu martwego żołnierza WOP.

– Hm, to co innego. Może jakiś seryjny zabójca? – mężczyzna kręci głową, nie wiedząc, co myśleć.

Faktycznie: czym innym jest opowieść o demonie, a czym innym są przypadki prawdziwej śmierci. „Tym bardziej że te drugie można dość łatwo zweryfikować, a potem wyjaśnić” – intensywnie myśli Jakub.

– Jakby się zastanowić – kontynuuje dziewczyna – to ta góra jest winna śmierci jeszcze kilku innych ludzi.

– To znaczy?

– Ojciec tamtych bliźniaków również nie żyje.

– Naprawdę?

– Zgadnij, gdzie go znaleziono.

– Nie mów, że na tamtej górze?

– Uhm. Więc zastanów się, czy naprawdę chcesz tam iść.

– Jest tam jakaś droga?

– Mówi się, że to najbardziej niedostępne miejsce w Sudetach. Nie znam nikogo, kto tam był i chciał wrócić.

Mężczyzna uważnie patrzy na swoją towarzyszkę: ona naprawdę wierzy w to, co opowiedziała.

14.

Ojciec Pauliny ogląda *Teleexpress*, kiedy Jakub prosi go o chwilę rozmowy. Jako policjant, wieloletni naczelnik komisariatu w Paczkowie, ten człowiek może przecież coś wiedzieć.

– Eee – odpowiada glina – niewiele, proszę pana. Jeszcze nie pracowałem.

– Miałem nadzieję... Wie pan, taka głośna sprawa...

Policjant się zastanawia. Jak się wydaje, ma około pięćdziesiątki. Szczupły, niewysoki, lecz wyprostowany i elegancki, jak na swój wiek wygląda świetnie.

– Późno poszedłem do firmy – informuje, strzepując popiół do popielniczki. – Zaraz po stanie wojennym. Widzi pan – dodaje – to była jedyna szansa na mieszkanie – uśmiecha się nerwowo, jakby to miało go wytłumaczyć.

– Rozumiem. No, ale może jakieś dokumenty? Albo coś się panu obilo o uszy?

– To zbyt dawno... – Henryk zaciąga się dymem. – Tyle lat? Kawał czasu.

Właściwie Jakub spodziewał się takiej odpowiedzi. Kiedy Paulina zaproponowała rozmowę z ojcem, natychmiast tak właśnie pomyślał: „Tyle lat? Bez sensu, po pół wieku z takich spraw niewiele się już pamięta”.

– I tak panu dziękuję.

– Nie ma za co – rzuca policjant. – Widzę, że na dobre zajął się pan pisaniem książki?

– Tatku! – wtrąca Paula. – Przecież mówiłam ci, że Jakub nie pisze książki. To praca naukowa.

– A tak, tak – odpowiada jej ojciec, machając ręką – zapomniałem. Człowiek tak jakoś zapamiętał. Wie pan, pierwsze wrażenie. I tak zostało.

Do pokoju, niczym torpeda, nagle wpada Helena. Staje z rękami na szerokich biodrach między mężem a telewizorem, zasłania obraz. Chwyta popielniczkę i znika z nią w świetle drzwi.

– Cholera jasna, Henryk! – ruga męża. – Człowiek na moment gdzieś pójdzie, a ty już! Ciemno, jakby ryby wędzili. Siekierę można powiesić. A ty jeszcze z gościem rozmawiasz. Wstyd.

– O, proszę! Takie mam życie – skarży się Modrak szeptem. – Widzi pan?

– I kto tak naprawdę rządzi w Paczkowie... – dodaje Paulina, chichocząc.

– No cóż – odpowiada dyplomatycznie Jakub. – Takie życie.

Uśmiecha się, ale przed oczami wciąż ma symbol przed chwilą dostrzeżony na popielniczce. Brak mu śmiałości, by zapytać. Postanawia: przy najbliższej

okazji zapyta Paulinę. Tym bardziej że zamierzał to zrobić już wcześniej, po pysznym serniku zjedzonym pierwszego ranka tutaj.

– A pan? – odzywa się Modrak. – Wciąż wolny?

Gość udaje zawstydzenie, ale prawdę mówiąc, to pytanie go bawi. Ludzie zwykle nie zagadują go o to, rozumieją, że brak żony to zwykła rzecz. Ale ci tutaj nie znają prawdy, nie mogą jej znać. Więc mają prawo pytać.

– Niech więc się pan zastanowi – żartuje policjant.

– Sam pan widzi, jakie mam życie.

– Oj, tatku, nie narzekaj. Żle ci?

– Dobrze mi, dobrze! – Modrak całuje córkę w czoło. – Ty mój skarbie.

Paulina się czerwieni, a Jakub czuje się dziwnie jako świadek tego nagłego przypływu uczucia. Nie wiadomo dlaczego ta scena wydaje mu się sztuczna. „Modrak to same sprzeczności – myśli. – Z jednej strony sztywny, twardy glina, a z drugiej, cóż, pantoflarz i kochający ojciec. A może nie jest szczery?”.

– No nic, panie Modrak, dziękuję. Może jeszcze czegoś się dowiem.

– Niech pan jedzie do Kamienicy. Kto wie? Może stary Leszczyński coś panu powie? Jak przyszedłem tutaj, on już pracował od stu lat – uśmiecha się – więc powinien coś pamiętać. W sześćdziesiątym ósmym był już w milicji, bo opowiadał, co się tu wtedy działo.

– A gdzie go znajdę?

– Problemu nie będzie: mieszka obok kościoła. Każdy go zna. Zapyta pan, to panu powiedzą.

– Wobec tego raz jeszcze dziękuję.

– Przy okazji możecie obejrzyć pogorzelisko.

– Pogorzelisko?

– W Kamienicy – Modrak uważnie obserwuje Jakuba. – Tamtej nocy, kiedy pan przyjechał, spłonęła stodoła obok kościoła.

– A tak. Pytał mnie pan o to.

– Właśnie. Doniesiono mi, że przyjechał pan od strony Kamienicy. A jechał pan podobno z Krakowa?

– Przegapiłem znak w śnieżycy. O mało nie potrafiłem jakiejś staruszki. To ona mnie pokierowała, zawróciłem i trafiłem tutaj.

– Aha.

– Pan podejrzewa, że mam coś wspólnego z pożarem?

– Nie, nie, skąd ta myśl, panie Jakubie? Absolutnie. Ale wie pan – uśmiecha się spod wąsa, lecz w jego oczach nie ma uśmiechu – miałem nadzieję, że coś pan zauważył.

Wychodzących odprowadza chłodne, wnikliwe spojrzenie. Po chwili Henryk podchodzi do okna. Zapala kolejnego papierosa i przygląda się parze przez koronkowe firanki. Jego twarz jest skupiona, uważna, a oczy – szeroko otwarte.

– Wiesz, Hela, on mi się nie podoba.

– Co masz na myśli?

– Jeszcze nie wiem. Ale się dowiem.

15.

Heinz Watz do ostatniej minuty się nie odzywa. Po kieliszku koniaku jego twarz, okaleczona rozległą blizną, przybiera bardziej okrutny wygląd niż esesmańska morda Kammlera. Dopiero gdy spotkanie dobiega końca, a zebrani wolno opuszczają salonik w atmosferze cichych rozmów, jego wzrok spotyka umęczone oczy Wernhera von Brauna.

– Ileż to upłynęło miesięcy?

– Jedenaście – odpowiada Watz. – A ty, jak widzę, nadal niezbyt dobrze znosisz latanie? –przerażającą twarz niespodziewanie rozjaśnia przepiękny uśmiech.

– Hm... Tobie chyba również niezbyt dobrze służy lotnictwo? – von Braun wskazuje ślady po oparzeniach na policzku. – Nieprawdaż?

– Lotnictwo to nie to samo co latanie.

– Latanie to nie to samo co życie.

– Ale czym by ono było bez latania? – śmieje się Watz.

– Dobrze cię widzieć – von Braun mówi, podając prawą dłoń. – Nawet w takim stanie.

Watz miał wypadek niespełna rok wcześniej, był to skutek największej pasji jego życia. Od kiedy skończył dwanaście lat, opętało go marzenie. Już wtedy, w trzydziestym trzecim zdecydował, co chce robić. Jako syn arystokraty, miał dostęp do wszystkiego. Mógł uprawiać rozwijające się wówczas sporty motorowe, polować, jeździć konno albo na nartach. Pozostał jednak na zawsze wierny lataniu.

– No cóż – odpowiada pilot – jak się jest oblatywa-
czem, wypadki są wliczone w ryzyko zawodowe.

– Wciąż nie wstąpiłeś do partii?

W trzydziestym siódmym roku szesnastoletni Hein-
z, znudzony już modelarstwem, zapisał się na kurs
pilotażu w Grunau. Okazał się najzdolniejszym
uczestnikiem szkolenia. Dwa lata później zdobył licen-
cję pilota samolotowego, co dało mu przepustkę do
prawdziwego latania. Dzięki talentowi i pracowitości
bardzo szybko zaczął odnosić sukcesy sportowe, ale
wojna wszystko zmieniła.

– Niemcy potrzebują mnie bardziej niż partia –
mówi Watz.

– Czyżby? Przecież partia to Niemcy.

Watz uśmiecha się gorzko. Dziś, już w prawie pią-
tym roku wojny, zastanawia się, w jakim kierunku po-
dąża jego kraj. Zastanawia się z niepokojem, bo to, co
się stało, dało mu czas do myślenia.

– Niemcy – zaczyna ostrożnie – potrzebują mnie
bardziej jako pilota, tak jak ciebie jako naukowca.
Wymyśl broń, która da nam zwycięstwo, a ja spraw-
dzę, czy nadaje się do użycia.

– Co się stało?

– Wiesz, że pracowałem nad myśliwcem rakieto-
wym Messerschmitta?

– Słyszałem to i owo.

– Słyszałeś, że przekroczyłem prędkość tysiąca ki-
lometrów? – pyta Watz, a w jego niebieskim spojrze-
niu pojawia się błysk.

– Słyszałem, że się zabiłeś.

– Prawie – przyznaje Watz skwapliwie. – To cud, że żyję.

– Co się stało?

– Skapotowałem, startując. Popelnilem błąd.

– Popelnileś błąd? – obrusza się naukowiec. – Ty? Pilot, któremu Niemcy zawdzięczają więcej niż komukolwiek innemu? Nie żartuj.

Watz wie, że to słowa prawdziwego przyjaciela. Na chwilę zawiesza wzrok na żyrandolu z jeleniego poroża i smutno kiwa głową.

– Niemcy czy Luftwaffe?

– Potęga Luftwaffe jest siłą Niemiec – cicho kwituje naukowiec.

Von Braun wyczuwa w głosie pilota ironię. W istocie jednak ma on wiele racji. W trzydziestym ósmym roku Watz wraz z szybownikami o wiele starszymi wiekiem i nalotem przeleciał nad Alpami, a tym samym przekroczył magiczną granicę czterech kilometrów przewyższenia. W następnym roku uczestniczył w wyprawie do Ameryki Południowej i zapisał na swoim koncie kolejne szybownicze rekordy, a po powrocie ku niezadowoleniu ojca został pilotem doświadczalnym Niemieckiego Instytutu Lotniczego. W następnych latach miał okazję pilotować każdy typ statku powietrznego, który potrafił się utrzymać w niemieckim powietrzu.

– Niestety, nikt – podkreśla drugie słowo – nie jest nieomylny.

– Nikt poza Führerem.

Nabierając w usta alkoholu, spoglądają sobie w oczy. Żaden nie musi nic mówić. Szczególnie że za jedno zdanie za dużo można umrzeć. Nawet jeśli rozmawia się z przyjaciółmi.

– Właśnie – mruczy pilot. – Ale to już co innego, prawda?

– Jesteś już zdrow?

– Jeśli pytasz, czy mogę latać, to mogę. A masz dla mnie propozycję?

Wernher von Braun się uśmiecha. W owym czasie, kiedy widmo przegranej wojny zaczyna się z wolna wyłaniać z „postępów” Wehrmachtu, który – jak głosi Goebbels – „przyjmuje z góry upatrzone pozycje, by przygotować się do miażdżącego kontrataku”, można znaleźć coraz mniej takich ludzi jak Watz. Ludzi, którzy wierzą w zwycięstwo Niemiec, choć nie interesuje ich partia.

– A masz ochotę jej wysłuchać?

– Zrobię wszystko – mówi pilot – jeśli to zbliży nas choćby o krok do zwycięstwa.

– Wobec tego zapraszam. Świeże powietrze dobrze nam zrobi.

Kilka minut później Watz pozna szczegóły najbardziej tajnego projektu Trzeciej Rzeszy, jaki kiedykolwiek powstał.

16.

Noc. Ciepła, sierpniowa. Wiesław czuje w powietrzu nutę zbliżających się chłodów. Siedzi na trawie, na wzgórzu za domem i wdycha zapach gasnącego lata. Lekki wiatr przyjemnie owiewa mu twarz. Delikatnie kołysze rozczochrane włosy, niesie ze sobą odgłosy z daleka. Coś metalowego upada z brzękiem. Gdzieś szczeka pies, pewnie na przechodzącego człowieka, kota albo innego kundla. Mężczyzna sprawia wrażenie, jakby słyszał też czyjś głos.

– Wiesiek! Chodźże do domu! – nawołuje zdenerwowana żona. – Słyszysz?

– Sssły... Słyszę! – odpowiada mężczyzna, pociągając z butelki. – Zzza... Zaraz!

Kłamie: nie słucha od dawna. Od kiedy los zabrał mu brata i obu synów. Z każdym dniem Wiesław wyraźniej czuje to coś. Co wieczór, co noc, kiedy nie może spać. Kolejny zachód słońca przynosi to samo, tyle że silniejsze. Obrazy, jak zdjęcia wywoływane z bratem w zaciemnionej łazience, stają się coraz bardziej wyraźne.

– Wiesław! Do jasnej cholery!

– Jjj, już!

– Ogłuchłeś? Ileż można cię wołać?

– Nooo idę jjjuż! Iiide!

Wstaje, rusza. Spogląda na dom, na tartak i znów leją mu się łzy jak groszek. Nagle staje przed drzwiami – przed tymi drzwiami. W świetle księżycy lśni do po-

łowy opróżniona półlitровка bimbru. Mężczyzna wchodzi.

I wraca tamten dzień. Wiesiek ma ledwie osiem lat. Zaraz będą pracować w tartaku. Mietek niedawno przyszedł na świat. Jest sobota, wiosna, roztopy, ale ciepło, słonecznie.

– Znów bierzesz ten łach? – z wyrzutem mówi matka do ojca. – Przecież masz tyle swetrów. Nie możesz założyć którego z nich, tylko ten porozciągany?

– A co to ma do rzeczy?

– Robotnicy na ciebie patrzą. Ludzie to samo. A ty jak wyglądasz? Potem będą gadali na wsi, żeś brudas.

– Przynajmniej wiadomo, że pracuję.

– Mógłbyś go już wyrzucić.

Wiesio jest gotowy do wyjścia. Obserwuje tę scenę z końca długiego korytarza. Rodzice są w kuchni. Wszystko wyraźne, realne, jakby wcale nie wydarzyło się ćwierć wieku wcześniej. Ojciec podchodzi do mamy. Przytula ją, całuje w czoło. Zegar wybija dziewiątą rano.

– Ale już założyłem. Nie będę zdejmował. Sama to zrobisz – ośmiolatek przyglądający się tej scenie nie wszystko rozumie – jak wróć.

– Już jestem gotowy, tato.

– No, widzisz – ojciec wskazuje chłopca. – Zresztą idziemy na chwilę. Przed obiadem skończymy – całuje ją raz jeszcze, po czym odwraca się do syna.

Na dworze błoto. Od godziny siedzą w warsztacie. Wiesio ma zakaz zbliżania się do maszyn, nawet jeśli są

wylęczone, ale lubi bawić się blisko, kiedy ojciec pracuje i czasem prosi go, aby coś podał, poszedł gdzieś albo zawołał pracownika.

Mały Wiesio ma kilkadziesiąt klocków wyciętych z drewna i pomalowanych farbami lub pokrytych lakierem bez koloru. Potrafi odróżnić, który klocek zrobiono z buka, a który – ze świerku, orzecha, wiśni. Ojciec jest dumny.

Piła co chwilę wszystko zagłusza, gdy przecina deskę. Nagle słyhać buczenie silnika. Mały odwraca głowę.

– Wyłącz! Prąd wyłącz!

Ośmiolatek przez chwilę nie rozumie. To, co się dzieje, dociera do niego po ułamku sekundy. Za długi rękaw swetra zaplątany w pas transmisyjny ściąga ojca w stronę piły. Wiesio biegnie do wyłącznika. Przekręca i czuje na twarzy coś ciepłego. Odwraca się: tarcza piły tkwi w ojcu. Patrzą na niego szeroko otwarte, gasnące oczy. Chłopiec wybiega, pędzi do domu. Buzię ma zachłapaną krwią. Ślizga się na błocie z kałuży. Przewraca się. Wstaje. Biegnie. Drzwi, schody, drzwi. Wpada do kuchni. Mama przy stole kroi czerwone buraczki.

– A coś ty taki brudny?

– Ta, ta, ta – jąka się. – Ta, ta, ta – nie może złapać powietrza.

„Od tamtego dnia nie przestałem się jąkać” – myśli teraz. Sięga po to, co przygotował w szufladzie. To ten

sam stół, przy którym najpierw pracował ojciec, a potem on sam. Wychodzi. Drewniane drzwi skrzypią.

Wiesiek rusza, lecz zamiast do domu idzie w góry. Ciągnie go szczyt, który zabrał mu brata i dzieci. Wyjmuje zębami korek i popija ciepły płyn śmierdzący skrobnią. Nie boi się. Jest pogodzony z tym, co robi. Wybaczył nawet matce, że trzy lata po ojcu ich osieročila, wieszając się na karniszu w sypialni. Ścisła w dłoni ten sam sznur, który przez tyle lat trzymał schowany w warsztacie – po tym, jak zdjęli go z sinej szyi matki.

17.

Słońce chowa się za górami. Jakub, zasłaniając okno, widzi wokół latarni ćmy i polujące na nie małe nietoperze. Siada do pracy. Pokój wypełnia szum komputera. Mężczyzna długo przeszukuje Internet. Po północy słyszy ciche pukanie do drzwi, lecz kiedy je otwiera, korytarz jest pusty. Kilka minut później zasypia, zmęczony. Następnego dnia nadal nie składa wizyty w Kamienicy. Zanim zobaczy krzyż płaczący krwią, postanawia się jeszcze rozejrzeć. Zaczepia kilku ludzi pod sklepem albo gdzieś w parku i wypytuje. Wybiera starszych.

– Jestem... – przedstawia się i zwięźle wyjaśnia, czego szuka i dlaczego. – Chciałem zapytać o pewną historię. Podobno po wojnie zginęło tam czterech harcerzy?

– Ja tam nic nie wiem – stwierdza pierwszy staruszek.

– Nie słyszałem – mówi następny.

– To bzdury! – wyjaśnia jakaś kobieta. – Nigdy nic takiego się tu nie wydarzyło.

Jakub zaczyna rozumieć, że ludzie nie chcą z nim mówić.

– No, a płaczący krzyż w Kamienicy? Co pan o tym sądzi?

– Panie kierowniku, co ja mam o tym sądzić? – odpowiada pijacek. – Cud i tyle. Pojedzie kierownik i sam zobaczy.

Po południu mężczyzna odwiedza miejską bibliotekę. Ma nadzieję, że choć tam trafi na jakieś informacje.

– Może pan sprawdzić wszystko, co mamy na ten temat – zaprasza utykająca bibliotekarka – ale wydaje mi się, że niczego pan nie odnajdzie.

– Dlaczego?

– Nie jestem pewna, czy to prawdziwa historia.

– Ale słyszała ją pani?

– Oczywiście. Tutaj każdy ją zna. Ale ja w nią nie wierzę. To tylko legenda.

Jakub pyta o miejscowe wydawnictwa. Kobieta jest uprzejma, uczynna i miła. Mówi, że „Głos Paczkowa” wychodzi od osiemdziesiątego piątego roku. Modrak mówił, że chłopcy mieli zginąć w sześćdziesiątym szóstym, więc ten trop trzeba odrzucić.

– „Nowiny Nyskie” wydawano wcześniej – podpowiada bibliotekarka. – Zdaje się, że od czterdziestego siódmego. Tyle że to gazeta powiatowa, nie gminna.

– Może coś będzie?

– Niech pan szuka. Mamy wydania od siedemdziesiątego szóstego. I wcześniejsze, nieregularne, też się znajdują.

Następne godziny, aż do wieczora, Jakub spędza, przeszukując zbiory. Szpera też w przewodnikach turystycznych. Przegląda książki o Paczkowie i okolicach. Bez skutku.

18.

Lockheed P-38 Lightning F-5B-1, wyposażony w sześć kamer, to maszyna rozpoznawcza. Ten dwusilnikowy samolot dalekiego zasięgu, pilotowany przez amerykańskiego kapitana o francusko brzmiącym nazwisku Baptiste, przed kilkoma minutami przeleciał na południe od Flensburga – ignorowany przez obronę przeciwlotniczą – na pułapie ponad dwunastu kilometrów. Październikowy dzień czterdziestego czwartego roku jest wyjątkowo słoneczny. Pilot ocenia widzialność na nie mniej niż sto pięćdziesiąt kilometrów. Gdy samolot mija wyspę Fehmarn, po prawej pilot nagle widzi nad Rugią niezwykle zjawisko.

– Pojawił się przede mną oślepiający wybuch – zezna po wylądowaniu.

– Proszę opisać go dokładniej – poprosi przesłuchujący oficer.

Baptiste opowie raz jeszcze o oślepiającym błysku. I o rosnącym w oczach słupie w kształcie grzyba, wznoszącym się kilka kilometrów nad powierzchnię ziemi, złożonym jakby z chmur kłębiastych wypełnionych ogniem.

Przesłuchujący go oficer pokiwa głową, a następnie każe napisać raport. Chwilę później wykona telefon, po którym w bazie 7. Grupy Rozpoznawczo-Fotograficznej w Mount Farm w Oxfordshire zjawi się dwóch oficerów MI5 w towarzystwie Amerykanina z Biura Służb Strategicznych. Przeczytają raport i zadadzą kilka pytań.

– Gdzie dokładnie pan to zaobserwował?

– Wydawało mi się, że tuż przed dziobem maszyny.

– Ale to przecież – odpowie Brytyjczyk z MI5 – niemożliwe!

– Wobec tego obejrzyjcie, co nagrały kamery.

– Już to zrobiliśmy – wtrąci się drugi z Anglików. – Niestety nie nagrała się ani minuta z pana lotu, panie kapitanie.

– Aha – wzruszy ramionami Baptiste – rozumiem. W takim razie nie mam nic do dodania. Jeśli to wszystko, dziękuję za rozmowę. Jestem zmęczony i nie czuję się najlepiej.

Tyle że agenci Służby Bezpieczeństwa Jej Królewskiej Mości i Amerykańskiego Biura Służb Strategicznych będą klamać, w istocie bowiem kamery zareje-

strowały każdą minutę tego lotu. W szczególności tę, gdy nastąpiła niezidentyfikowana eksplozja. Nagranie oczywiście zabezpieczono, raport z lotu także. Baptiste nigdy się nie dowie, że pilot brytyjskiego myśliwca Spitfire także potwierdził ten wybuch, a niespełna cztery miesiące później, w marcu czterdziestego piątego roku pewien radziecki szpieg w swoim raporcie opisał podobny. Tak oto kilka prostych zdań trzech nie znających się ludzi przekaże ludzkości przerażającą wiadomość.

19.

Stara się nie przekraczać przepisowej prędkości. Niebieski terenowy opel sunie przed siebie zgrabnie, nawijając kilometry na grube opony. Kręta droga przez wieś wyraźnie się wznosi. Co kilkadziesiąt merów zza budynków lub przydrożnych drzew wylania się panorama gór – tak bliskich, że niemal na wyciągnięcie rąk. Szczyty są pogrążone w chmurach koloru ołowiu. „Na szczęście nie pada” – myśli Jakub, ale za chwilę pojawia się mżawka. Kierowca próbuje znaleźć w radiu jakąś polską stację.

– To tutaj normalne – mówi Paula. – Musisz się przyzwyczaić.

– Chyba masz rację – mruczy, wciąż słysząc tylko Czechów.

– Nie ma w tym nic złego – dodaje dziewczyna, odwracając głowę w jego stronę. – Tak nauczyłam się czeskiego.

– Przez radio?

– Właściwie przez telewizję. Kiedy byłam małą, wieczorynka zaczynała się o dziewiętnastej. Piętnaście minut wcześniej na czeskim kanale startował *Večerníček*. Potem, kiedy dorosłam, *Krtek* czy *Křemílek a Vochomůrka* już mnie nie interesowały, ale filmy owszem. Wzięłam słownik, nauczyłam się kilku, potem kilkunastu słów, aż wreszcie już mogłam oglądać filmy.

– Co powiedziałaś? – śmieje się Jakub. – Krzemilek?

– *Křemílek a Vochomůrka* – odpowiada Paula tak naturalnie jak Czeszka. – Nie oglądałeś?

– Chyba nie.

„Niezwykła dziewczyna – myśli mężczyzna. – Nie dość, że zna niemiecki, to jeszcze sama nauczyła się kolejnego języka, aby rozumieć telewizję. Niebywale.” Patrzy na nią i znów to czuje. Tak samo jak wtedy na wieży, ale silniej. Zatrzymuje spojrzenie na dolnej, szerszej, teraz wilgotniej wardze Pauliny. Pragnie ją pocałować.

– Ej! – dziewczyna szturcha go w ramię. – Zwario-wałeś? Żwirka i Muchomorka zna przecież każdy!

Jakub się śmieje. Paula uświadomiła mu, że okolice takie jak te rządzą się własnymi prawami. „Granica? Cóż za bzdura! Kilka kroków i dalej już nie można, bo inny kraj – myśli kierowca. – Tę wieś przecież w ciągu kilkuset lat na zmianę dzielono granicą i scalano, zależnie od zawieruch historii”.

– Wiesz – zaczyna – jestem ciekaw, jak wygląda ten krzyż. – I co nam powie Leszczyński. Mam nadzieję, że zastaniemy go w domu.

Paula spogląda na niego jak na wariata.

– A gdzie niby miałby być siedemdziesięcioletek?

– Nie wiem, będę wiedział za czterdzieści lat – uśmiecha się. – Jak dożyję.

Pierwszy raz jadą gdzieś razem. Dokładnie tak, jak się umówili: Paula ma mu pokazać krzyż w Kamienicy. „A stary Leszczyński, no cóż, to się okaże” – myśli Jakub.

– Zatrzymaj przed kościołem.

Wysiadają z samochodu. W sklepie dopytują, gdzie mieszka stary. Ekspedientka natychmiast wskazuje dom naprzeciw kościoła, a przy okazji ciekawie im się przygląda.

– I proszę – żartuje dziewczyna, gdy nikt im nie otwiera. – Wykrakaleś.

– Może jest w kościele?

– Może.

– Więc chodźmy. Nawet jeśli go tam nie będzie, z przyjemnością sobie wszystko obejrzę.

– Interesujesz się kościołami?

– Kościołami? – dziwi go to pytanie. – A gdzież tam. Ale czasem można tu i ówdzie coś interesującego znaleźć albo się czegoś dowiedzieć.

Przez chwilę Jakub czuje się trochę nieswojo: nie mógł jej przecież wyjawić prawdy, choć szczerze powiedział, coraz gorzej mu z tym, co robi. Wołałby

nie ukrywać przed nią, kim jest naprawdę i dlaczego się tutaj znalazł.

– Na przykład czego?

– To ty mi powiedz. Zgodziłaś się być moją przewodniczką – mruga do niej.

– A pokażesz mi Kraków?

W jej oczach jest coś, czego nie potrafi odczytać. Dziewczyna zaczyna mu się coraz bardziej podobać. To niebezpieczne. Spędzili ze sobą zaledwie kilka godzin, ale... No właśnie, sam nie wie. Jakub odwraca wzrok.

Kościół otacza niewysoki, mniej więcej dwuipół-metrowy kamienny mur z dwiema bramami. Wchodzą bliższą, tą z drewnianą wieżyczką.

– Piękna ta wieża.

– Podoba ci się?

– I to jak! – odpowiada, wpatrzony jak w obrazek.
– Zawsze mi się podobały drewniane budowle.

– Wieżyczka nie najgorsza, ale w kościele nie ma według mnie niczego interesującego.

Faktycznie, kanciasta budowla, opisana na planie krzyża, niezbyt się wyróżnia. Na szczęście wieża, dobudowana od wschodu i pokryta zielonkawą blachą, zaciera nieciekawe wrażenie. Widziana z zewnątrz świątynia nie urzeka Jakuba.

– Wejdziemy do środka?

– Jeśli chcesz.

Wprawdzie jest wspaniała pogoda, ale chwila na modlitwę nie zaszkodzi. Chłodne wnętrze specyficznie

pachnie świecami i kadzidłem. Mężczyzna natychmiast zmienia zdanie: uwielbia woń i atmosferę niektórych kościołów. Odświeżający, cytrusowy aromat olibanum kojarzy mu się z oczyszczeniem, a cisza panująca w tym miejscu go uspokaja.

– Piękny – szepcze Jakub półgłosem. – To wszystko musi być o wiele starsze od samej budowli.

Dziewczyna, skończywszy krótką modlitwę, z uznaniem spogląda na swojego towarzysza. „Nie myli się, więc musi mieć wiedzę o historii sztuki lub doświadczenie w zwiedzaniu kościołów. Kim jest ten człowiek?” – myśli, spoglądając na Jakuba chłonnego urok rzeźb, malowideł, organów.

– Wydaje mi się, że – mówi ten cichutko, wpatrzony w witraż ze świętym Jerzym zabijającym smoka – ma przynajmniej czterysta lat.

– Jesteś blisko.

– To znaczy?

– Pochodzi z szesnastego wieku.

– Dzwonnica również?

– Nie, dzwonnica jest starsza. Nie wiadomo jednak, jak bardzo. Wiadomo, że był tu kościół w trzynastym wieku. Dzwonnica musi być młodsza. Tamta pierwsza świątynia spaliła się albo została zrujnowana. Dzwonnicę zbudowano później.

Nagle zegar na dzwonnicy wybija godzinę. Spod sufitu zrywa się stado gołębi. Jakub wzdryga się, nieprzygotowany na taki odgłos. „Zastawiające – myśli – gołębie tutaj?”

– Dzwon pochodzi z tego pierwszego, starego kościoła. Ma co najmniej sześćset lat – informuje Paula.

– Hmm. Poważna sprawa. Sześćset lat. Kawał czasu.

Dziewczyna wygląda pięknie. Chłodne wnętrze, pełne rozproszonego światła, wydobywa z jej twarzy urok. „Co by się stało – przemyka mężczyźnie przez głowę – gdybym się w niej zakochał?”. Natrętna myśl zostaje natychmiast odpędzona.

– Dziwne, że przetrwał wojnę – mruczy Jakub. – Niemcy często je przetapiali.

– Może schowali go na czas wojny?

– Może. Nic pani nie wie na ten temat? Nie przygotowała się pani do zajęć?

Paula jeszcze nie zawsze wie, kiedy on mówi serio, a kiedy żartuje. Ten oficjalny ton... „Tak właśnie musi się zwracać do studentów. Ciekawe, jakim jest wykładowcą” – zastanawia się.

– Coś tam wiem. Kiedyś pisałam referat o kościołach w okolicy.

– No proszę. Więc może jednak nie będzie pały? Słucham.

– Pamiętam, że to kościół parafialny pod wezwaniem świętego Jerzego.

– Warto dodać – mruga porozumiewawczo – że to ten od smoka – ruchem brody wskazuje na okno, które jeszcze przed chwilą z takim zainteresowaniem podziwiał.

Z góry, gdzieś spod wysokiego sklepienia opada niewielkie gołębie piórko.

– A tak, tak. Jerzy, rozumiem. Myślałam o smoku w Krakowie.

– Ciągnie wilka do lasu. Pamiętasz, kiedy go zbudowano?

– Chyba w tysiąc dziewięćset czternastym, ale pewna nie jestem.

– Hm. Niezbyt stary.

– Zdaje się, że tylko wewnątrz – kontynuuje dziewczyna – jest z siedemnastego wieku.

– Potwierdzam – słyszą za sobą czyjś głos.

Odwracają się przestraszeni. Z cienia pod chórem bezgłośnie wylania się starszy mężczyzna w sutannie. Niewysoki, drobnej budowy ciała, ale o energicznych ruchach. Krótko przystrzyżone włosy w kolorze śniegu i zmarszczki wokół oczu świadczą o tym, że dawno przekroczył siedemdziesiątkę. Podchodzi, przyjaźnie się uśmiechając. Uważne błękitne spojrzenie ma w sobie ciepło, więc choć ich przestraszył, szybko zaczynają czuć do niego sympatię.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – Paulina natychmiast wita się z księdzem.

– Na wieki wieków. Państwo chyba przyjezdni, prawda? – pyta pleban, zmrużywszy oczy, i zdejmuje fioletową stulę z ramion.

– Ja jestem z Paczkowa – odpowiada Paulina – ale... – zawiesza głos – doktor Wróblewski przyjechał z Krakowa.

Kaplan chowa różaniec i zakłada okulary. Skupia jasne oczy na Jakubie.

– Ach, Modrakówna! – poznaje dziewczynę. – Współczuję straty.

– Bóg zapłać.

– No cóż, stary Waławczyk przez lata żył obok nas, cichy, skryty, spokojny. A potem tak samo odszedł. Nie utrzymywaliście kontaktu?

– Nie, proszę księdza, ale – Paulinie załamuje się głos. – Ale...

– Wybacz, dziecko – pleban unosi dłoń. – Nie moja sprawa. Pan jest z Krakowa, powiadasz? Dobrze słyszałem – zwraca się do Jakuba. – Jest pan lekarzem?

– Nie. To tytuł akademicki.

– A, rozumiem. Szkoda. Myślałem, że mi pan pomoże. Miałem kiedyś kolegę z Krakowa, został lekarzem, a potem straciłem z nim kontakt. Tak czy inaczej, witam w mojej parafii – dodaje, rozkładając ręce niczym podczas eucharystii. – Co państwa tutaj sprowadza?

Ksiądz ma głęboki, mocny głos. Mówi wolno, wyraźnie, widać, że wiele lat pełnił posługę. W kościele nie ma nikogo innego, a przynajmniej tak się Jakubowi wydaje.

– Można powiedzieć, że zwiedzamy – odpowiada. – Ma tu ksiądz piękne wnętrze.

– Tak! Obrazy, rzeźby, ambona, organy, chrzcielnica, tabernakulum, ołtarz główny, boczny prawy i lewy – wylicza z dumą duchowny – zegar, żyrandol, ława

kotlarska... To wszystko ma przynajmniej czterysta lat.

– Imponujące – kwituje Jakub. – Kawał historii.

– Oprócz tego kamienny mur z szesnastego i osiemnastego wieku, z dwiema bramami. No i krzyż.

– Widzieliśmy – wtrąca dziewczyna – wszystko oprócz krzyża. Doktorowi przypadła do gustu szczególnie dzwonnica – dodaje, uśmiechając się do Jakuba.

– To pozostałość po starym kościele.

– Jak starym?

– Prawdopodobnie czternastowiecznym. Z tego, co wyczytałem w księgach parafialnych, zbudowano go w miejscu pierwszej tutejszej świątyni, powstałej gdzieś między rokiem tysiąc dwusetnym a tysiąc dwieście pięćdziesiątym.

– Co się z nim stało?

– Spłonął.

– Hm. Szkoda.

– Tak. I szkoda, że nie znam niemieckiego, bo w pamiętnikach niemieckich księży też pewnie by się coś ciekawego znalazło.

– Z pewnością – przytakuje uprzejmie Jakub, choć chętnie już by się pożegnał.

– To właśnie z tamtych czasów pochodzi nasz dzwon – rozkręca się ksiądz. – Zresztą jest tu wiele innych ciekawostek.

– A krzyż?

– Hm... No cóż – odpowiada kapłan z rezerwą. – Cóż ja, skromny, prosty sługa boży, mogę na to po-

wiedzieć? Niech pan sam zobaczy – dodaje z gorzkim uśmiechem. – To nic dobrego. Do tego jeszcze ta straszna tragedia – mruczy, uważnie spoglądając na Paulinę.

– Słyszałem – mówi Jakub, też na nią patrząc. – Zaraz się tam udamy. Bóg zapłać za tych kilka słów o kościele.

Ksiądz zegna ich ukłonem. Zdjąwszy okulary, chwilę patrzy na parę opuszczającą chłodne mury, po czym sunie w kierunku zakrystii. Oni tymczasem postanawiają, że sprawdzą, czy Leszczyński przypadkiem już nie wrócił do domu. Lecz i tym razem nikt nie otwiera. Ruszają w stronę drugiej bramy, gdzie ma się znajdować tajemniczy krzyż. Dziewczyna uśmiecha się, gdy docierają na miejsce. Krzyż ma niecały metr wysokości i pochyła się w tył. Jest płaski, ma nie więcej niż trzydzieści centymetrów grubości i wydaje się wyciosany z jasnej skały.

– To krzyż pokutny – stwierdza Jakub. – Relikt średniowiecznego prawa.

Nie byłoby w nim nic dziwnego, gdyby nie to, że wokół pałą się setki zniczy i świeczek. Zebrało się też kilkoro ludzi, głównie staruszek, modlących się na klęczkach. Wokół panuje dziwna aura.

– A skąd się tutaj wziął?

– Dawniej, gdy ktoś dopuścił się zbrodni, zbierała się rada, coś na kształt dzisiejszego sądu. Orzekła wzniesienie krzyża, właśnie wyciosanego z kamienia, w miejscu zabójstwa. Takie krzyże zazwyczaj pochodzą z

dwunastego, trzynastego, ewentualnie czternastego wieku. Ale ten mi wygląda na niemal współczesny. Dziwne.

– Nie można cię niczym zaskoczyć?

– Kolega z akademika pisał o tym pracę – kłamie Jakub. – Czytałem ją, bo prosił mnie o poprawienie, korektę. Zapamiętałem co nieco.

Prawda wygląda tak: uczył się o tym, nie tylko o tym zresztą. Przygotowano go do tego, czym się zajmuje. Doskonale zna przypadki objawień, płaczące figury, uzdrowienia, kamienne krzyże, historię sztuki sakralnej, świętych i stygmatyków, nietypowe kapliczki.

– To opowiadaj.

– Morderca zobowiązany był także do pokrycia kosztów pogrzebu i arcyciekawego przewodu sądowego.

– Dlaczego arcyciekawego?

– Bo zazwyczaj taki sąd polegał na trzydniowej uczcie przy pieczystym i winie.

– Aha.

– Morderca musiał teżłożyć na utrzymanie rodziny zabitego.

– To już coś.

– Czasem musiał jeszcze odbyć pielgrzymkę do świętego miejsca. Zazwyczaj boso.

– No proszę!

– I kupić świece do kościoła.

Jakub wyjaśnia, czym są krzyże pokutne. Robi to w racjonalny sposób, wszystko trzyma się kupy. Pewnie

gdyby Paula zażądała dowodów w postaci źródeł, wyrecytowałby jej tytuł, autora, rok wydania, a może nawet i stronę. Jest świetny w naukowym wyjaśnianiu tajemnic ubiegłych wieków.

– A przy tym – mówi po chwili – spójrz, jaki genialny plan resocjalizacyjny, prawda?

– Prawda. I nieobciążający budżetu państwa.

– A do tego – ciągnie mężczyzna – z morałem. Bo postawienie krzyża było ostatnim etapem pokuty. W tym momencie następowało pojednanie mordercy z ofiarą, a krzyż stanowił upamiętnienie tragedii. Miał przykuwać uwagę i przestrzegać potomnych.

– I słusznie.

– Tyle że tutaj nie widzę niczego nadzwyczajnego. Poza tym, że nie wygląda to zbyt staro. Mówiłaś, że z powodu tego krzyża macie więcej gości w hotelu?

– Tak, to prawda. Odkąd krzyż zaczął płakać krwią, tak jest.

Jakub patrzy jej w oczy. Tym razem to on nie wie, czy dziewczyna żartuje. Paula uśmiecha się zalotnie, a głową daje do zrozumienia, by dokładniej przyjrzał się krzyżowi.

Słońce świeci nisko, cienie z wolna się wydłużają. Stąpając ostrożnie pomiędzy zniczami, odsuwając jeden po drugim, aby się nie poparzyć, Jakub rusza ku krzyżowi. Zauważa coś na chropowatej powierzchni. Odwraca się w kierunku dziewczyny. Stoi tam – w długiej czerwonej sukience, piękna. Unosi rękę, zachęca, by zbliżył się jeszcze bardziej, i nie wiadomo dla-

czego przypomina mu Marię Magdalenę z obrazu Iwanowa. Nad ich głowami znów przelatuje stado białych gołębi. Chwilę później zegar na wieży wybija kolejną godzinę. Mężczyzna czuje zapach kadzidła, dochodzący z kościoła. Kilka kroków dalej, oślepiiony płomieniami, dostrzega to.

– O Boże! Czy to naprawdę lży?

– Teraz już wierzysz? – słyszy za sobą gardłowy głos.

Gwałtownie odwraca głowę, lecz za nim nie ma nikogo. Paulina stoi jak poprzednio. Tyle że obok jest teraz drobna staruszka w chustce, z czarnym kundelkiem na smyczy. Pies szczerzy zęby.

20.

Diebner nosi mocne okulary w grubych czarnych oprawkach. Choć dopiero w przyszłym roku skończy czterdziestkę, przez łysiejącą głowę wygląda na dużo starszego. Jest członkiem NSDAP. Nie ma wprawdzie wielkich osiągnięć naukowych, ale to on nadzoruje tajne badania, w których od kilku lat bierze udział ponad dwustu naukowców.

– Przepraszam, że cię tutaj ściągnąłem, ale musimy porozmawiać osobiście. Powiedz coś więcej – mówi Watz. – Od samego początku. I bez naukowego bełkotu.

Dwa tygodnie po oficjalnym przemówieniu Himmlera stół w jadalni hotelu przy Neisser Strasse w Patschkau jest bogato nakryty porcelanową zastawą z

herbem Watz. Fizyk przezornie prosi przyjaciela gestem o to, aby się przybliżył, zniża głos i zaczyna mówić.

– Przed wojną Hahn i Strassmann rozszczepili jądro atomowe. Wiedzieliśmy, że składa się z protonów i neutronów. Bardzo ciężkie pierwiastki, takie jak uran albo pluton, mają ogromną liczbę protonów i neutronów w jądrach, rozumiesz?

– Tak.

– Energia ich wiązania jest tym większa, im większa liczba masowa pierwiastka. Jeśli rozszczepimy jądro, to, najogólniej mówiąc, tworzą się kolejne neutrony. W ten sposób otrzymujemy reakcję łańcuchową.

– Mów dalej.

– Widzisz – Diebner zawiesza głos – ta reakcja leży u podstaw wszystkiego, bo aby rozszczepić jądro, trzeba zderzyć neutron, który bardzo szybko się porusza, z jądrem. A rozpadowi towarzyszy wydzielanie się znacznych ilości energii.

– To znaczy?

– Kilogram uranu wzbogaconego plutonem wyzwoli energię porównywalną z wybuchem dwudziestu tysięcy ton trotylu.

– Dwudziestu ton?

– Nie. Dwudziestu tysięcy ton.

– Dobry Boże – na twarzy pilota maluje się wyraz zdumienia. – To naprawdę możliwe?

Naukowiec zdejmuje okulary, przeciera szkła, po chwili znów zakłada okulary i starannie je poprawia.

Zwleka z tym, co zamierza powiedzieć, bo ma świadomość, że te słowa zaważą na tysiącach ludzkich istnień.

– Reakcja łańcuchowa wydzieli ogromną ilość energii. Wybuchowi towarzyszy wysoka temperatura. Pojawiają się fala uderzeniowa i promieniowanie przenikliwe. Skutki są katastrofalne. Atak na Paryż lub Londyn oznacza, że pół miasta zostanie doszczętnie zniszczone w ciągu sekundy. Oprócz tego w promieniu wielu kilometrów od epicentrum wystąpi śmiertelne promieniowanie.

– Promieniowanie?

– Jeszcze nie jesteśmy w stanie określić konsekwencji wybuchu tej bomby, ale na pewno ludzie chorują i umierają. Wiesz, co to oznacza?

– Kurt, czy chcesz mi powiedzieć, że ta cudowna broń istnieje?

– To już się stało.

– Macie taką bombę?

– Mielśmy – odpowiada Diebner.

– Co masz na myśli?

– Przeprowadziliśmy próbną eksplozję.

Naukowiec z zatroskaną miną patrzy na przyjaciela. Zdaje sobie sprawę, że ma możliwość zbudować najstraszniejszą broń w historii ludzkości. Wie też, że Niemcy są w tragicznym położeniu i z pewnością znajdą się tacy, którzy zechcą tej broni użyć.

– Czy mógłbyś powtórzyć?

– Zdetonowaliśmy płyty sproszkowanego uranu i parafiny otoczone ładunkami i umieszczone w aluminiowej sferze. Proszek wzbogaciliśmy plutonem. Wybuch zainicjował krótkotrwałe reakcje o mocy porównywalnej z wybuchem stu ton trotylu.

– Czy to oznacza, że udało się wam zbudować bombę rozpadową?

– Na razie – stwierdza ostrożnie fizyk – udało się nam przeprowadzić udany wybuch.

– Czekaj, czekaj... Jeśli wyprodukujemy wystarczającą liczbę bomb – Watz zaczyna analizować – to to może nam dać zwycięstwo!

Diebner spogląda w twarz przyjaciela, zaczerwienioną od emocji. Zna go aż nazbyt dobrze. Owszem, różnią się i często nie zgadzają ze sobą, ale jednego nie można temu arystokracie odmówić: jest największym patriotą, jakiego Diebner zna. Nie zapisał się do NSDAP, nie wychwalał Hitlera pod niebiosa, nie wstąpił nawet do wojska, ale łatanie i Niemcy kocha ponad wszystko.

21.

Wie, że i tak będzie musiał tam wrócić. Musi to sfotografować, opisać, powinien też pobrać próbki. Trzeba je dokładniej zbadać. W jego pracy nie ma miejsca na jakiegokolwiek wątpliwości, intuicję ani domysły. Liczą się tylko fakty. Ale aparat zostawił w hotelu, nie ma również wymazówek. „Nie ma jak pobrać śladów krwi – myśli i łapie się na tym, że z góry założył,

czym jest czerwony plyn. – Gdzie podział się mój obiektywizm?”.

– No dobra, mamy kościół, krzyż, co jeszcze chcesz? – pyta Paulina.

– Tego, czego jeszcze nie mamy.

– Leszczyńskiego?

– Właśnie – zasępia się Jakub. – Leszczyńskiego, którego nie ma. A tam? – wskazuje przez okno ruinę w oddali. – Co tam jest?

– To ruiny starego kościoła.

– Kościoła? To mają tu jeszcze jeden?

– Był. To tylko ruiny.

– Pójdziemy tam?

– Ale nie teraz. Muszę wracać do hotelu – mruczy ona.

Obiecała ojcu, że będzie wieczorem. Jakuba nawet to ucieszyło. Potrzebuje ochłonać po tym, co przeżył. Wyraźnie słyszał, jak ktoś szepcze do jego ucha całe zdanie. Nie mógł przecież tego wymyślić!

„I jeszcze ta cholerna wiedźma. Skąd nagle się tam wzięła? – zastanawia się, wracając do samochodu. – Czy dzieje się ze mną coś niedobrego?”.

– To była ona – stwierdza stanowczo.

– Kto?

– Ta, która stała obok ciebie. O mały włos bym jej wtedy, w tej śnieżycy, nie potrafił.

– No co ty, przecież nikogo nie było.

– Paula! Nie rób ze mnie wariata. Wyraźnie widziałem.

– Nikogo tutaj nie było. A może to Gawlasowa? – dziewczyna puszcza do niego oko.

– Kim jest Gawlasowa?

– Nie przejmuj się nią – Paulina macha ręką i się uśmiecha. – Mamy ważniejsze sprawy – mówi, wskazując sylwetkę księdza.

Tym razem pleban zakrywa siwiutkie włosy czarnym biretem. W głowie Jakuba zapala się czerwona żaróweczka.

– Paula?

– Tak?

– Czy nie mówiłaś, że Leszczyński był kiedyś organistą?

– Kościelnym – poprawia ona. – Nie organistą. I nie ja, ale mama ci to mówiła.

Mniejsza z tym. Dobrze się składa.

– Ojcie, można o coś jeszcze zapytać? – zagaduje mężczyzna.

– Oczywiście. Odwiedziliście krzyż?

– Tak, ale interesuje mnie co innego. Nie wie ksiądz, gdzie znajdę Leszczyńskiego?

– Ciężka sprawa. Z tego, co wiem, podupadł na zdrowiu. Zdaje się, że choruje. A do czego jest wam potrzebny?

Jakubowi wydało się, że kiedy zapytał o tego człowieka, po twarzy plebana przebiegł nieokreślony dreszcz. Dziwne. Mężczyzna w kilku zdaniach streszcza cel swojego pobytu w Paczkowie. W księdza jakby wstępuje nowe życie, z jego twarzy natychmiast znika

napięciu. Dostają zaproszenie na kolację następnego dnia.

– Pokażę wam coś, co na pewno was zainteresuje. Niewielu o tym wie, a jeszcze mniej ludzi to widziało. A już naprawdę tylko kilku – kapłan zniża głos – wie, że ta okolica ma naprawdę sporo mrocznych tajemnic.

22.

Fiasko operacji „Walkiria” nie złamało w Niemcach ducha oporu przeciw Hitlerowi. Nawet utrata niemal pięciu tysięcy przeciwników reżimu po zamachu w Wolfsschanze nie unicestwiła antywojewódzkich nastrojów. Dlatego dwudziestego października czterdziestego czwartego roku w sali kominkowej zamku Naudabaum spotykają się oberstleutnant Ernest Koch, major Wolfgang Hanke, oberstleutnant Günther Kepke i Heinz Watz. Zamek należy do rodziny tego ostatniego. Mieści się tu kwatera tajnej organizacji Freies Deutschland.

– Volkssturm? – zaczyna Koch

– Tak – odpowiada pilot. – Hitler myśli, że do walki stanie cały naród.

Koch był niegdyś potężnym mężczyzną. Wyprostowanym niczym struna, ponad stukilowym, dwumetrowym blondynem o kwadratowej twarzy.

– Pospolite ruszenie? – dodaje, popijając koniak z pękatego kieliszka.

– Coś w tym rodzaju – kwituje Watz.

Gdy w kwietniu czterdziestego trzeciego Koch odkrył w Katyniu ciała polskich oficerów, zrozumiał, że należy zakończyć wojnę, której zresztą od początku był przeciwny. Dla niego samego kres wojny wkrótce stał się faktem, bo nie da się walczyć na wózku inwalidzkim. Zamiast pić na umór, postanowił jednak walczyć o to, by skończyć ten konflikt dla reszty rodaków.

– Czy mam przez to rozumieć – pyta major Hanke – że każdy Niemiec od szesnastego do sześćdziesiątego roku życia zdolny do noszenia broni zostanie powołany?

– Na to wygląda – wzrusza ramionami Watz.

– To ma sens – dodaje. – Niestety.

Major Hanke miał na temat spisku von Stauffenberga podobne zdanie jak Koch, obaj woleli poczekać. Wolfgang, z wykształcenia prawnik, urodził się w pruskiej rodzinie szlacheckiej. Już przed wojną nawiązał kontakt ze środowiskami dążącymi do odsunięcia Hitlera od władzy. Uważał, że można odebrać Führerowi władzę bez jednego wystrzału.

– Bzdura! – protestuje Koch, mocnej zaciskając ręce na kółkach wózka. – To się nie uda. Przecież to czyste szaleństwo!

– Nie wiadomo – mówi Hanke. – Raczy pan zauważyć, poruczniku, skuteczność szaleństwa w awanturze warszawskiej.

Hanke jest najstarszy, ma pięćdziesiąt trzy lata. To jeden z najbardziej zagorzałych przeciwników nazizmu, z jego zdaniem liczą się wszyscy. Oprócz inteli-

gencji cechują go rozległe kontakty i szerokie wpływy w środowiskach niezwiązanych z wojskiem czy policją.

– Warszawa to co innego – odpowiada Koch, popijając koniak. – Niemcy to nie Polacy. A nawet jeśli to się uda, to i tak nie ma najmniejszego sensu – mówi wpatrzony w kieliszek, po czym odwraca wzrok i spogląda na pozostałych.

Szczapki drewna trzeszczą w kominku. Na twarzach zebranych widać zaciętość.

– Tak źle jeszcze nigdy nie było – ciągnie Koch. – Na froncie wschodnim ponosimy dotkliwe straty. Rosjanie są już pod Warszawą. Na zachodzie alianci: w Belgii, Holandii, nie wspominając o Francji. Zajęte są niemal całe Wochoy. To początek końca.

– Koniec dawno się zaczął – Hanke macha ręką, pykając nieodłączną fajkę z jeleniego poroża. – A jeśli chodzi o szaleństwo, to może nie udało się w Warszawie, ale pod Stalingradem było inaczej, nieprawdaż, Herr Oberstleutnant? – zwraca się do milczącego jak zwykle porucznika Kepkego.

Wywołany do odpowiedzi żołnierz, skręcający właśnie papierosa z bibułki i tytoniu, tak jak tam, pod Stalingradem, może coś na ten temat powiedzieć. Jako jedyny ma na sobie mundur, choć kuleje na prawą nogę i aby chodzić, potrzebuje laski. Lewy policzek przecina mu szrama po trafieniu odłamkiem, a stracone oko przykrywa czarny kawałek materiału. Kepke ma dwadzieścia dziewięć lat, lecz jest siwy niczym siedemdziesięcioletnik. Ten małowówny frontowiec chyba

najbardziej ze wszystkich nienawidzi Hitlera, lecz jest zadowolony, że nie związał się z operacją „Walkiria”.

– Owszem. Szaleństwo bywa skuteczne – kiwa głową.

– Właśnie – mówi Koch.

– Cholera! – głośno klnie Kepke, odsuwając nieukończony skręta. Znow mu się nie udało, wciąż nie potrafi wykonać wielu prostych czynności. Amputowano mu dwa odmrożone palce. – Ostrzegalem go.

– Wszyscy go ostrzegaliśmy – mówi Hanke, zabierając bibulę i tytoń. – A tak? Co nam zostało? – pyta, choć nikt nie oczekuje odpowiedzi.

Wprawnym ruchem zakleja bibulę i podaje przyjacielowi gotowego skręta. Kepke kłania się w podziękowaniu, odpala zapalką i się zaciaga.

– Hitlerowi został fanatyzm. Szaleństwo. A nam? Tylko czekanie na rozwój wypadków – stwierdza Koch.

Przysuwa wózek, aby dorzucić drwa do ognia. Schyla się, w blasku ognia jego twarz wydaje się zmęczona, ale zacięta i zdeterminowana. Gdy tryskają iskry, zmrużone oczy nadają jej bezwzględny wyraz.

– Nie – odpowiada Watz. – Jest jeszcze szansa, lecz musimy działać natychmiast.

– Ale jak? – pyta Koch, odwróciwszy się od ognia.

Następuje chwila milczenia. Koch przysuwa wózek w kierunku swoich towarzyszy. Pociąga kolejny łyk śmierdzącego koniaku. Watz opowiada, że w zeszłym roku, po zniszczeniu Peenemünde rozpoczęto pewną

niezwykle tajną inicjatywę, która dziś jest już mocno zaawansowana. W każdym razie na tyle, że jeśli uda się ją doprowadzić do końca, to Niemcy mają jeszcze szanse zmienić koleje światowego konfliktu. Kepke pali skrzęta jak w okopie, a Hanke fajkę – jakby wojna zupełnie go nie dotknęła.

– Ale jak? – raz jeszcze pyta Koch. – Nic przecież nie mamy.

– Czyżby?

– Więc co?

– Mamy argument – wyjaśnia Watz. – Argument nie do zbicia, poruczniku.

Po chwili poznają szczegóły. Słuchają z uwagą. Jak się wydaje, to, o czym mówi Watz, pasuje do założeń ich organizacji. Na razie czekają, bo reżim Hitlera jest jeszcze silny, ma zbyt wielu popleczników, szczególnie teraz, kiedy antynazistowski ruch oporu został rozбитy. „Ale gdyby faktycznie się udało, jest szansa” – myślą. Tym bardziej że Freies Deutschland liczy znacznie więcej ludzi, którzy włączyliby się do akcji.

– Interesujące – ocenia Koch – proszę mówić.

Nie przyłączyli się do spisku von Steufenberga, bo uznali, że zamach należy przeprowadzić dopiero wtedy, kiedy alianci znajdą się pod Berlinem. Wówczas aresztują najważniejszych przywódców Trzeciej Rzeszy. Powołają rząd tymczasowy, przejmą kontrolę nad policją i wojskiem. Oskarżą Hitlera i jego ludzi o zbrodnie. A potem wystąpią do aliantów z propozycją

rokowań. I kiedy przeciwnicy wkroczą do Berlina, zastaną już nowy rząd, nowy porządek i nowe Niemcy.

– W takim razie, Heinz – odzywa się Koch – zorganizujecie spotkanie.

– Jak najszybciej – dodaje Hanke. – Nie mamy czasu.

Trzeci z nich, Kepke, milczy. Skinienie głowy wystarczy. Klęska operacji „Walkiria” odebrała im wiele: tylu ludzi ważnych dla planu i odwagę. Stracili niemal wszystko. Teraz Watz dał im nową nadzieję, tak jak noc przynosi nowe sny.

23.

Odłożywszy słuchawkę telefonu, Modrak zaciska usta. „A więc przeczucia mnie nie myliły” – myśli. To, co usłyszał od dyżurnego komisariatu, potwierdza jego intuicyjną ocenę. Starego glinę bardzo rzadko mylą przeczucia, a podejrzliwość to cecha, którą rozwinął przez te lata jak żadną inną.

– Nie podoba mi się ten Wróblewski – mówi do córki.

– Proszę?

– To, co słyszałaś, młoda damo – odpowiada szorstko.

Paulina, wolno wkładając zakupy do lodówki, nie patrzy na ojca. Później obdarza go chłodnym spojrzeniem, lecz jej oczy coś rozjarza. Henryk jeszcze bardziej się niepokoi.

– Słucham więc – rzuca dziewczyna.

Modrak aż zbyt dobrze zna tę nutę, którą właśnie usłyszał w głosie córki. Ponad ćwierć wieku z dwiema kobietami pod dachem potrafi nauczyć tego i owego.

– Nie zrozum mnie źle, kochanie – zaczyna – ale mam złe przeczucia.

– Co chcesz mi powiedzieć? – ostro odpowiada Paula.

„Cholera – myśli Modrak. – Źle zacząłem, zdenerwowała się. To jeszcze gorzej”. Milczy przez chwilę, zastanawiając się, jak rozegrać tę rozmowę. Córka nie daje mu szansy.

– O co ci chodzi?

– Nic o nim nie wiemy – mruczy stary.

– Tato! To nie kontrola drogowa. Zwariowałeś? Mnie Jakub nie wygląda na przestępcę.

– Wiem, wiem, możliwe, że się mylę. Ale wydaje mi się, że jest podejrzany.

– Oj, przestań już! Każdy wydaje ci się podejrzany. A już szczególnie ktoś, kto spędza ze mną czas. Chcesz mnie wychować na starą pannę?

– Nie o to chodzi.

– A ja myślę, że o to!

– Ta historia z jego książką nie trzyma się kupy.

– Niby dlaczego?

– Nie chce mi się wierzyć, że nauczyciel akademicki przyjeżdża do takiej miejscowości jak Paczków, aby pisać o niej książkę.

– Och – wzdycha dziewczyna. – Już ci mówiłam, że nie pisze książki o naszym...

– Wiem, wiem, kochanie – Modrak macha ręką. – Zbyt dużo węszy.

– Węszy?

– Jeździ po gminie. Wypytuje o tamtą historię z chłopakami na Wysokim Kamieniu. Nawet zdjęcia krzyżowi w Kamienicy robił.

– Skąd wiesz?

– Ludzie mi donieśli.

– Ludzie? Kapusie – odparowuje dziewczyna – a nie ludzie! Co w tym dziwnego, że robi zdjęcia? A w Kamienicy był ze mną. Pojechałam tam na wolnym od tego tu – spogląda z dezaprobatą w sufit – bałaganu.

– No, no!

– No co? Powiem ci, o co tak naprawdę chodzi – Paulina jest wyraźnie zirytowana.

Modrak sięga po papierosa. „Cholera jasna – myśli. – Nie tak miała się potoczyć ta rozmowa, teraz już nic nie wskóram”. Paulina założyła ręce na biodra, identycznie jak jej matka. Henryk tak często widzi w córce te same ruchy, gesty, a nawet znaczną część cech charakteru Heleny. „Szlag by to trafił – złorzeczy ojciec w myślach – do tego wszystkiego gdzieś mi się zapodziała zapalniczka”.

– Boisz się, że się wreszcie zakocham – dziewczyna daje upust wściekłości. – Że wyjadę, zostawię was z tym waszym hotelem – ostatnie słowo podkreśla z niesmakiem. – I będziecie sami. Tego się boisz! I właśnie to ci się w Jakubie nie podoba – dodaje i trzaska drzwiami.

„To by było tyle, jeśli chodzi o rozmowę z córką” – martwi się stary glina. Tyle że tym razem młoda nie ma racji, prawda jest inna. Modrak znajduje zapalniczkę, po chwili zaciąga się dymem, siada w ulubionym fotelu. Potem, skubiąc wąsa, zastanawia się nad tym, co usłyszał od dyżurnego.

Najchętniej wrzuciłby PESEL Wróblewskiego na bęben, jak to się u nich w firmie mówi. Zaraz miałby całą kartotekę gagatka, o ile ten ją ma. Byłoby to jednak, jak mówią młodzi, ostre przegięcie. Krajowy System Informacji Policji rejestruje każde sprawdzenie osoby, a z danych wolno korzystać tylko w zakresie niezbędnym do realizacji zadań służbowych. Ktoś mógłby się zainteresować, dlaczego sprawdzał tego faceta – szczególnie jeśli on faktycznie ma coś za uszami, a na to wygląda. Cielecki sprawdził numer rejestracyjny jego opla w Centralnej Ewidencji Pojazdów i Kierowców, a potem polisę w Ubezpieczeniowym Funduszu Gwarancyjnym. Modraka bardzo zdziwiło, że samochód Wróblewskiego należy do krakowskiej kurii biskupiej.

24.

Ponownie spotykają się przed Bożym Narodzeniem tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku. Watz siada za sterami fieselera i leci na wschód, w kierunku Waldenburga. Niespełna trzy godziny potem samolot ląduje na niewielkim lotnisku w pobliżu zamku. Na pokładzie znajduje się Kurt Diebner.

– Witamy, panie doktorze – mówi Hanke, podając rękę. – Okazuje się, że jest pan jedną z najlepiej strzeżonych osób w Trzeciej Rzeszy.

– W sensie dosłownym nie jestem doktorem, panowie.

– Pewnie dlatego jeszcze trudniej było nam pana wyrwać z Fürstenstein – dodaje Hanke. – Na szczęście pomogły nasze kontakty.

Po twarzy naukowca przebiega cień niepokoju. Koch, siedzący na wózku, natychmiast to zauważa.

– Może się pan tu czuć bezpiecznie – wyciąga dłoń w powitalnym geście.

Kepke wita się z gościem w milczeniu. Hanke przedstawia Diebnerowi porucznika z opaską na oku. Zaskakujące: widok Kocha na wózku i weterana frontowego w tym gronie uspokaja Diebnera.

– Nie traćmy czasu – apeluje Watz.

– Ewakuowaliśmy ośrodek – tłumaczy Diebner, spoglądając im w oczy. – Potem wystąpiły pewne, niestety liczne, przeszkody. Największą było uzyskanie odpowiedniej ilości substancji rozczepianej. Straciliśmy sześćset trzydzieści kilogramów tlenu deuteru i czternaście ton ciekłego półfabrykatu.

– Co to ma do rzeczy? – pyta Koch.

– Mogę skończyć?

– Przepraszam – Koch jak zwykle jest niecierpliwy.

Nie zawsze był taki. Zmienił go alkohol – i jeszcze to, że nigdy nie pogodził się z faktami. Po trafieniu w

plecy przez sowieckiego snajpera nie stanie już na nogach.

– Pozyskiwanie ciężkiej wody – wyjaśnia Diebner – sprawiało nam ogromne trudności, dlatego eksperymentowaliśmy z grafitem jako moderatorem. Wybuch stosu uranowego w Lipsku też nam nie pomógł.

– Rozumiem, ale potrzebujemy konkretów – przerwa zniecierpliwiony Koch.

– Są i konkrety.

– Co to znaczy?

– Mój zespół kilka tygodni temu przeprowadził pierwszą próbę. Wkrótce dopracujemy tę broń.

– Kiedy? – odzywa się Kepke.

– Za kilka miesięcy.

– Obawiam się, że możemy nie mieć tyle czasu – mówi Koch. – Poza tym: co nam da jedna bomba? – dodaje, popijając koniak.

– Nie trzeba ich wiele – wyjaśnia Diebner. – Wystarczy jedna, dwie, najwyżej trzy. I najlepiej by było, aby żadna nie została użyta.

Spoglądają na niego. Projekt byłby już dawno skończony, gdyby nie bezprzykładna głupota Hitlera i ten jego przekłety antysemityzm. Zdaniem tego niedouczzonego idioty zdolni młodzi fizycy bardziej przydadzą się w szeregach Wehrmachtu niż w laboratoriach. A Żydzi – raczej w obozach niż w ośrodkach badawczych. Dopiero rok temu niemal trzy tysiące fizyków zwolniono z armii. Gdyby stało się to wcześniej, prace byłyby bardziej zaawansowane.

– Chce pan powiedzieć – pyta Hanke – że dysponujemy bombą, dzięki której wygramy?

– Tak.

– Jakim cudem?

– Z tą bronią jeszcze nikt się nie spotkał. A wiercie mi, panowie, zniszczenie w ciągu sekundy takiego miasta jak Bremen albo Hamburg zrobi wrażenie. Na każdym.

Żaden z zebranych nie rozumie do końca tego, o czym mówi Diebner. Nikt jeszcze nie jest w stanie uświadomić sobie potęgi broni nuklearnej.

– Prawdopodobnie – Hanke zaciąga się w zamyśleniu. – Tyle że jest dużo niewiadomych.

– No właśnie – wtrąca Watz. – Panowie, zastanówcie się: jak świat na to zareaguje?

Zebrani milczą. Atak tą bronią byłby przerażającą demonstracją siły. Niemcy zatrwożyłyby Churchilla, de Gaulle’a, a nawet Stalina. Roosevelt także musiałby się obawiać.

– Mówi pan, że wystarczyłaby jedna? – pyta z powątpiewaniem Hanke.

– Jedna, dwie – odpowiada Watz. – Spowoduje więcej zniszczeń niż kilkanaście armii.

– Szczególnie teraz – kwituje Diebner. – Pierwszy atak bombą rozpadową wszystko zmieni. Wszyscy będą musieli uznać, że jedyną obroną przed kolejnym atakiem jest rozejm.

– Aha – łapie Hanke – a jeśli nie, to powtórzmy atak?

- Właśnie. Ale nie sędzę, że będzie to konieczne.
- Jasne. Po pierwszym ataku moglibyśmy przystąpić do negocjacji w sprawie zakończenia wojny.
- Dokładnie tak – potwierdza Watz. – O to chodzi.
- Mam nadzieję, że atak w ogóle nie okaże się konieczny – mówi Diebner. – Może wystarczy groźba użycia bomby? Albo przekazanie dokumentacji w zamian za wynegocjowanie kapitulacji? Nie chcę zostać źle rozumiany, ale zabicie kilkuset tysięcy ludzi w ciągu sekundy bardziej zbliża nas do Hitlera, niż od niego oddala.
- Obawiam się, że alianci nie uwierzą w zapewnienie o posiadaniu tej broni – mówi Koch – i gotowości do jej użycia. Wystąpienie z propozycją rokowań potraktują jako słabość, nawet jeśli aresztujemy całą flotę z Berlina.
- Tak, prawdopodobnie będzie trzeba jej użyć – zgadza się Hanke – aby świat zrozumiał jej potęgę. Można tę bombę zrzucić z samolotu?
- To już nie mój problem – odpowiada Diebner, pokazując wnętrza dłoni. – Jestem naukowcem, a nie żołnierzem. Moim problemem są surowce potrzebne do wyprodukowania bomby.

25.

Następnego dnia robi się jeszcze zimniej, dopiero pod wieczór przychodzi ocieplenie. Strumienie wzbierają, woda w korytach rzek jest brudna, jasnobrązowa.

Jakub udaje się do wsi, bo na pytanie o tamtych chłop-
ców usłyszał od sołtysa:

– Może Kalina coś wie. On starszy niż ja.

– Kiedyś to się tu żyło – belkocze Kalina, gdy znajdują go przed sklepem. – Przed osiemdziesiątym
dziewiątym to, wie pan, bar miał trzy sale! I wszystkie
trzy każdego dnia były pełne – wspomina. – Piwo
sprzedawano w kuflach z rżniętego szkła, do wódki
trzeba było kupić śledzia, nóżki w galarecie albo po-
łowę jajka z majonezem.

– Ciekawe.

– Ciekawe, mówi pan? To były czasy. Po prostu –
mówi Kalina ze smutkiem – się żyło. Nie to, co teraz.
We wsi, oprócz baru, był sklep, zresztą niejeden. Na
miejscu było to, co trza. Działał mięsny. Nawet wło-
skie lody mieliśmy w spożywczym. Do tego ośrodek
zdrowia z lekarzem i pielęgniarką. Poczta z telefonem.
Biblioteka w domu kultury. W piątki przyjeżdżała ny-
ska, a w niej kino. W sobotnią noc potańczyć można
było, aż księdza szlag trafiał. Potem – uśmiecha się
mężczyzna – miał co opowiadać na sumie. A teraz,
kurwa jego mać, nic już nie ma. Nic nie zostało. Tylko
sklep. Nawet bar nie działa. A przecież jeszcze za
Niemca był.

Jakubowi żal tego człowieka. Alkohol nie jest przy-
czyną jego stanu, lecz skutkiem tego, co się stało po
zmianie ustroju. Na przykładzie Kaliny widać, jak
zmiana potrafi zniszczyć tych, którzy nie umieją się
dostosować.

– To było ze dwa lata przed inwazją na Czechosłowację – odpowiada stary na pytanie o tamtą czwórkę. – W sześćdziesiątym szóstym. To dobre czasy były – mówi, wpatrując się w niemal już pustą butelkę. – Nie siedzielibyśmy tu jak psy pod płotem, ale kulturalnie, jak ludzie pracy do Sudeckiego byśmy poszli. A tam gwar, panie! Głośno jak w ulu. Żyło się! Inaczej niż teraz – kręci głową – za demokracją.

– Pamięta pan może dokładną datę? – Jakub przerywa wywód, nie pozwalając rozmówcy na dalsze gędzenie.

– A gdzieżby tam! Tyle lat! Zresztą tak powiadają ludziska, ja tam nie wiem. Ale wiem, że to lato było. Czerwiec. Chyba koniec, bo wakacje się zaczęły. A tak, wakacje, bo oni tu, niedaleko mieli obóz. To harcerze byli. Problemów z nimi nie mieliśmy. Za wsią się rozbijali i całe lato tam siedzieli. I jakaś cholera ich podkusiła. Nie wiem. Kto tam młodych zrozumie? We czterech poszli na tę przeklętą górę.

– Po co?

– Mówilem: kto ich tam wie? Ludzie opowiadali, że od miejscowych się dowiedzieli, że góra to nawiedzone miejsce. Bo tutaj każdy to wie. Tam chodzić nie ma po co! Ta góra to złe miejsce. Każdy wie.

– Ale dlaczego?

– A po co ryzykować?

– Ryzykować czym?

– Życiem, panie, a czym?

– Proszę mówić.

– A co tu mówić, panie, miejsce takie, że tam zagłądać się nie chce. Nasłuchali się o duchach i poszli. Te duchy, znaczy się, wywoływać.

– Był pan tam kiedyś?

– A byłem, raz. Ale w dzień. Gdybym na noc tam został, to już dawno ziemię bym gryzł. Byłem, bo człowiek młody to głupi. Zresztą myśmy nie wiedzieli, że to przekłete miejsce. Siedem lat miałem, jak nas przesiedlili z Milówki tu, na Ziemię Odzyskaną. To skąd mogliśmy wiedzieć, że tam klątwa jakaś?

– Klątwa? Co tam jest?

– Psy dupami szczekają. Łąka. Pełno kamieni. Las, drzewa. Jakieś bunkry, zasypany szyb w górze czy coś. Jakaś rudera. No i widok, piękny. Coś tam musiało być, ale teraz już śladu nie ma.

– A jak tam dojść?

– Panu też życie niemile?

– Ciekaw jestem.

– Ciekaw – powtarza pijaczek. – Taka ciekawość może, panie tam, za mur – wskazuje cmentarz – zaprowadzić. Ot, co! Była tam kiedyś niemiecka droga, ale zarosła. I tory były, ale już dawno nie ma. Nie wiem, leśniczego trza by wypytać. Ja tam z pięćdziesiąt lat nie byłem.

– Aha. A co się stało z torami?

– Rozebrane.

– A dlaczego?

– Cholera wie. Ta góra jest prawie przy samej granicy. Zaraz po wojnie, panie, to myśmy żadnej granicy

nie mieli! Można było do Czechów chodzić. I się chodziło, na piwo i nie tylko – uśmiecha się. – A potem komuniści śrubę dokręcili. Tory szły ze Złotego Stoku, to kazali rozebrać. A potem i w Złotym Stoku zrobili porządek. Kopalnię zamknęli, bo Ruscy zabronili złota kopać.

– A co się wtedy stało? Z tymi harcerzami?

– Tylko oni wiedzą – mruczy Kalina. – Podobno wyszli w nocy z obozu i poszli na szczyt. Milicjanci mówili, że parę dni się do tego szykowali.

– Jak?

– Książki czy książkę o duchach czytali. Tak ludzie mówią. Ja tam nie wiem.

– A co było dalej?

– Powiedziałem, co wiem.

– A kto może wiedzieć więcej?

– Teraz to ciężko... Ci, co wiedzieli, pomarli. Nie-wielu zostało. A i rzadko kto chce mówić, nie dziwota. Może leśniczy coś powie. Jak trzeźwy będzie.

26.

Plebania jest urządzona surowo. To poniemiecki dom, przynajmniej stuletni.

– Dziś już się tak nie buduje – marudzi pleban, tym razem ubrany w czarne spodnie ze sztruksu i ciemnoszarą koszulę, niedbale rozpiętą pod szyją, bez kolaratki, mając na myśli koszty ogrzania budynku.

Ciemne wnętrze zdobią ściany wyłożone boazerią. Jakub uznaje, że mają w sobie coś ponurego, co czyni plebanie odpychającą.

– Co ksiądz sądzi o wywoływaniu duchów?

– Sądziłem, że będziecie wypytywali o krzyż.

– Bo wszyscy o to pytają?

– Owszem.

– Ja – zaczyna Jakub z uśmiechem – proszę księdza, jako człowiek nauki, nie wierzę w te sprawy. Słyszałem kilka dziwnych historii, ale da się je wytłumaczyć. Nauka znajduje wyjaśnienia. Dlatego pytam.

– Rozumiem – przytakuje pleban i kiwa głową. – Pyta pan o to, co ja – kontynuuje, wycierając usta chusteczką – na ten temat sądzę, czy też jak na tę sprawę zapatruje się Kościół?

– Jestem ciekaw jednego i drugiego – kłamstwo nie sprawia Jakubowi trudności.

– Nie spotkałem nigdy nikogo, kto potrafilby się kontaktować ze zmarłymi.

– Czyli te wszystkie historie to legendy?

– Nie.

– Nie rozumiem.

– Ludzie podejmują próby kontaktu ze zmarłymi. Bogu dzięki, nekromancja zazwyczaj nie działa. Te rzekomo udane próby są zwykle oszustwem. Tyle że jedna na kilka tysięcy prób może się niestety okazać skuteczna.

– Dlaczego niestety? – odzywa się Paulina.

– Ludzie nie zdają sobie sprawy, jakie mogą być konsekwencje.

– Co ksiądz ma na myśli?

– Jak by to ująć... Ludzie nie chcą zrozumieć, że nasz świat jest równoległy do świata zmarłych. Nie powinny się przenikać, bo stamtąd nie można już wrócić. Gdy spoglądamy w otchłań, ona także na nas patrzy. Takie eksperymenty mogą się skończyć fatalnie.

– Mówi ksiądz o opętaniu?

– Opętanie to fakt. Lekarze powiedzą „psychoza”, a my, księża, rozpoznajemy to jako opętanie. Oczywiście nie każdy chory jest opętany, ale część owszem.

– Mówi ksiądz, że opętanie bywa konsekwencją złamania zakazu kontaktów ze zmarłymi. A to w ogóle możliwe?

– Biblia dowodzi, że w szczególnych przypadkach duchy mogą się objawiać. Tyle że duch jest istotą niematerialną. Nie ma ciała. Rozumiecie państwo?

– Tak – odpowiada dziewczyna.

– Chyba tak – mówi Jakub, lecz w jego głosie brak przekonania. – Tak mi się wydaje.

– Pan nie wierzy w Boga? – w tych słowach jest więcej z twierdzenia niż z pytania. – To, że nie ma pan wiary w Boga, nie znaczy, że on nie istnieje. Zapewniam: oprócz tego, co nas otacza, jest jeszcze inny wymiar. Jest Bóg i są demony. I tutaj dotykamy istoty problemu.

Nagle pytanie księdza zaskakuje Jakuba, który przez chwilę zastanawia się nad odpowiedzią. Gdy

miał dwadzieścia lat i postanowił wybrać drogę życiową, wahał się. Wierzył jednocześnie w naukę, Kościół i Boga.

– Co ksiądz ma na myśli?

– Aby duch się ukazał i aby można się było z nim kontaktować, konieczny jest pośrednik. Gdy duch ukazuje się nam z własnej woli, tę rolę odgrywają anioły. Nietrudno się domyślić, co może się stać, jeśli przejmie ją wysłannik Szatana.

– Rozumiem.

Jakub w kilku zdaniach streszcza historię tamtej czwórki. Paulina dodaje opowieść o szczycie, na którym rzekomo ma się znajdować dziwna skała otoczona kręgiem nieregularnie rozrzuconych kamieni, a także o starej drodze i rozebranych torowisku.

– To miało się stać, zanim tutaj przybyłem. Niestety, w kronice brak wzmianki na ten temat.

– A w starszych kronikach? – pyta dziewczyna.

– Niemieckich?

– Tak.

– Nie wiem. Nie mówię po niemiecku.

– A krzyż? – wtrąca Jakub.

– Więc jednak postanowił pan o to zapytać?

Jakub uśmiecha się tak naturalnie, jak to tylko możliwe. Starannie się przygotowywał do tego pytania. To, że ludzie opowiadają niestworzone historie, nie jest niczym dziwnym, Kościółu to nie interesuje. Ale średniowieczny krzyż płaczący krwawymi łzami, stojący na terenie przyległym do parafialnej świątyni o kilku-

setletniej tradycji, to inna sprawa. Tym bardziej że z każdym dniem robi się o tym coraz głośniej. A rozgłos nie jest potrzebny, niczego dobrego nie niesie.

– Nie wiem, co powiedzieć – mówi ksiądz. – Nie jestem teologiem. Mam parafię i wiernych. Pełnię posługę najlepiej jak umiem. To, co się stało, mnie przeraża.

– Nie zamierza ksiądz nic zrobić?

– Nie. Zresztą już zrobiłem to, co należało: powiadomiłem kurię. Reszta zależy już tylko od tego, co zdecydują zwierzchnicy Kościoła, kierowani przez rękę Boga naszego. Pewnie wkrótce przyślą tu kogoś, aby zbadał sprawę.

– Czy moglibyśmy, proszę księdza – mówi Paulina – rzucić okiem na te kroniki?

Chwilę później przechodzą do biblioteki. Siadają w obszernych fotelach z kieliszkami wyborowego wina – jak zapewnił pleban, z prywatnej winniczki. Ksiądz, uchyliwszy okno, pozwala sobie na kubańskie cygaro. Jakub i Paulina zagłębiają się w lekturze. Za oknem padają pierwsze krople ciepłego, kwietniowego deszczu. Strony są żółte, zapiski skreślono bardzo starannym pismem, nieco pochylonym w lewo. Papier pachnie starym woluminem.

– Ksiądz myśli, że oni mogli być opętani?

– Tego nie wiem, ale historia zna takie przypadki.

– Słuchamy – mówi Paula, przerzucając kartki.

– To wszystko trudno wyjaśnić. Opętanie jest stanem umysłu – ksiądz patrzy im w oczy – a zatem

można je mylić z chorobą. I tak było przez wieki, szczególnie w przypadku epilepsji czy schizofrenii. Opętani są jednak neurologicznie zdrowi, tyle że zniewoleni przez coś, co zawładnęło ich ciałem.

– Można do tego doprowadzić przez wywoływanie duchów?

– To zawiniona przyczyna.

– A istnieją przyczyny niezawinione?

– Owszem.

– Jak się rozpoznaje atak demona?

– To trudne, bo próbuje się to leczyć, a trzeba z tym walczyć.

– Opętanie nie jest chorobą?

– Przypomina ją, czasem jednak udaje się rozpoznać atak demona.

– Jak?

– Początkowe objawy są identyczne jak w praktyce klinicznej. Atakowany ma wizje, słyszy głosy, dręczą go natrętne myśli, bredzi, zmienia mu się głos. Czasem przejawia ogromną siłę albo niebywałą odporność na ból. Potem objawy ustępują, ale pojawiają się zjawiska niewytłumaczalne.

– To znaczy? – dopytuje Jakub.

– Mówienie w obcych, nieznanym językach. Wie-
dza o zjawiskach, które zaistnieją dopiero w przyszłości. Może się pojawiać telekineza lub telepatia. Na tym etapie jeszcze nie rozpoznaje się opętania. Dopiero reakcja takiego człowieka na dewocjonalia, lewitacja, wstręt do krzyży, odróżnianie hostii konsekrowanych

od niekonsekwentnych i wody święconej od zwykłej dają pewność, że to nie choroba.

– Czy są udokumentowane przypadki?

– Oczywiście. Chyba najlepiej opisany pochodzi z Niemiec. Nagrano aż sto dziesięć taśm magnetofonowych. Dziewczyna w wieku szesnastu lat zachorowała na epilepsję. Zaczęła pić własny mocz, zjadać muchy i pająki, żuć węgiel i kłać w obecności księży, choć była niezwykle pobożna. Odgryzała głowy martwym ptakom, szczekała i wyla jak pies, skakała po ścianach, potem zaczęła niszczyć krzyże i figurki maryjne, rozrywać różańce. Lekarze byli bezsilni.

– Co się z nią stało?

– Umarła.

– Egzorcyzmy nie pomogły?

– Rzecz w tym, że nie wyraziła na nie zgody. Atak demona potraktowała jako ofiarę za grzechy innych. Przyjęła cierpienie i znosiła je przez siedem lat. Kiedy już nie dawała rady, poprosiła o egzorcyzmy, ale było za późno.

– A inne przypadki?

– Cele, Eckland, Mannheim... Jest mnóstwo takich historii.

– Proszę mówić.

– Pierwsza z tych osób, Clara Cele, zawarła pakt z diabłem. Wkrótce zaczęła mówić we wszystkich językach. Znała też ludzkie grzechy i tajemnice. Nie mogła znieść obecności błogosławionych przedmiotów. W końcu zaczęła lewitować.

– To możliwe?

– Istnieją wiarygodne zeznania świadków.

– A następni?

– Anna Eckland to przypadek z lat trzydziestych. Prześladowały ją myśli samobójcze, obsceniczne, bluźniercze wyobrażenia i sny, skłonności do agresji i fobie. Wokół niej pojawiały się wrzaski, ryki, jęki. Wydawała z siebie zwierzęce głosy, mimo że zamykała usta. Mówiła wieloma językami, z łaciną włącznie, choć uczyła się tylko angielskiego. Lekarze byli bezsilni. Przeprowadzono egzorcyzmy.

– I co?

– Po miesiącu demon ustąpił.

– No, a ten Mannheim?

– Kiedy miał lat trzynaście, umarła mu ciotka, z którą był bardzo związany. Postanowił się z nią skontaktować za pomocą planszy ouija. Wkrótce mu się udało i zaczął organizować seanse. Podczas jednego z nich dało się słyszeć tajemnicze dźwięki, a przedmioty same się przemieszczały. Chłopiec się zmienił: kłął, był agresywny i miał nieludzką siłę. Egzorcyzmy trwały miesiąc. W ich trakcie malec zadał jednemu z księży tak liczne rany, że do ich zszycia użyto ponad stu szwów.

– Hm. Ciekawe. Powiedział ksiądz, że demon może zaatakować każdego?

– Tak, ale potrzebna jest przyczyna.

– Rozumiem. To by się zgadzało. Jeśli tamci chłopcy podjęli próbę kontaktu z duchem, faktycznie

mogli zostać przez niego zaatakowani – zastanawia się Jakub. – Ale wspomniał ksiądz, że istnieją również niezawinione przyczyny opętania?

– Zło szuka szczeliny w umyśle. Nie wiadomo, czym się kieruje, gdy wybiera ofiary. Atakuje przecież zarówno ludzi głęboko wierzących, jak i agnostyków.

– Proszę?

Większość tego, co pleban dotychczas powiedział, zgadzała się z doktryną, którą Jakub znał aż nazbyt dobrze. Nie interesował się dotąd opętaniem, więc z chęcią wysłuchał opinii księdza. Zdziwił się jednak, bo sądził, że ten problem dotyczy wierzących.

– Nieakceptowanie zła – mówi ksiądz – nie chroni nas przed jego atakiem.

– Już dość o duchach – wtrąca Paula. – Znalazłam coś ciekawego. Spójrzcie: kronikę prowadzono od sierpnia trzydziestego ósmego, ale ktoś wyrwał kartki od grudnia czterdziestego trzeciego.

– Pewnie było tam coś niewygodnego – zauważa proboszcz.

– Właśnie. Widać tu negatywne nastawienie osoby, która prowadziła zapiski, do faszyzmu. Posłuchajcie: „Byłem wczoraj w Reichenstein”...

– To Złoty Stok po niemiecku – wyjaśnia ksiądz.

– „...na pogrzebie Güttlera. Zabito go za homoseksualizm, ale to brednie, znałem go. Zamordowano go z powodu majątku. Chcą przejąć jego kopalnię. Grenztal, dwudziesty maja tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku”.

– Czytaj dalej – prosi Jakub.

– „Wśród nas zagnieździł się Szatan. Jeszcze dwa lata temu wieś nazywała się Kamitz, ale ta nazwa była »za mało niemiecka«, więc ją zmienili. Dranie. Dziś wszystko, co nie jest z nimi, nie jest niemieckie. Widziałem dziś, Ojcie, nad naszym cmentarzem orła. Wiem, że to znak. Czuję, że nadchodzi czas próby. I choćbym kroczył ciemną doliną, zła się nie ulękę, bo Ty jesteś ze mną. Twój kij i Twoja laska są tym, co mnie pociesza. Grenztal, pierwszy sierpnia tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku”.

– Psalm dwudziesty trzeci – mówi ksiądz.

– Tu nie jest jasno powiedziane, ale – zauważa dziewczyna – chyba chodzi o nazistów?

– Na to wygląda – Jakub kiwa głową. – Czytaj dalej.

– „Dziś moja parafia to już nie to samo miejsce co przed laty. Oto dziś ujrzałem we śnie Bestię, jak wychodzi z morza. Kark jej wieńczyło siedem głów, każda miała siedem rogów, na których błyszczwały złowrogo diademy bluźniercze. Były podobne do pantery, lecz łapy miały niedźwiedzia, paszcze zaś lwa. Pokazałeś mi śpiącego smoka, a teraz on wstaje, by czynić zło. Jedna z jego głów krwawi raną i nie wiem, czy jest ona uleczona, czy wciąż się jątrzy. I co mam czynić? Wszyscy z Grenztal oddają pokłon Bestii, Panie! Czy mam milczeć wobec niej, bluźniąc przeciw Tobie? Czy też cisnąć słowa sprzeciwu, wszcząć walkę, a tym samym powieść siebie i wiernych Twojego Kościoła na

zatrącenie? Szósty sierpnia tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku”.

Spoglądają na siebie. Dziś tak łatwo zrozumieć te słowa.

– „Sen się sprawdził – kontynuuje Paulina – Radio powtarza kłamstwa. Wielu już w nie uwierzyło, szczególnie młodych. Nazywają to »kampanią polską«. We wsi na szczęście prawie się nic nie zmieniło. Poza tym, że panuje tu ruch. W kierunku Neisse odchodzą kolumny samochodów, ciężarówek z bronią i wojskiem. Słychać pociągi. Wszystkie jadą na wschód. Ludzie nie chcą rozmawiać. Wszyscy się boją. Trzeci września tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku”.

– Co jest dalej? – dopytuje Jakub.

– „Można pomyśleć, że wojna nas nie dotyczy, ale tylko się oszukujemy. Wprawdzie nie słychać strzałów, wybuchów, ale wojna dotarła już i tutaj. Najstarszy syn Wernherów nie wróci. O innych na razie nic nie wiadomo. Boże, uchron, ale czuję, że nadejdą wieści o następnych. Dwudziestego października tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku – dziewczyna spogląda na towarzyszy, przewraca stronę i czyta: – We wsi pojawili się ci od Organisation Todt. Przyszli z ubranymi po cywilnemu, ale to wojsko. Porozlepiali obwieszczenia. Potem udali się do Weißwasser. Na drogach w góry postawiono zakaz wstępu. Złamanie ma być karane śmiercią. Dwudziesty grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku”.

– Rozumiecie coś z tego? – zastanawia się proboszcz.

– Organizacja Todt zajmowała się budową obiektów militarnych dla Wehrmachtu.

– Tutaj? – pleban nie posiada się ze zdziwienia. – W Kamienicy? Przecież tu nic nie ma!

– Ten ksiądz pisał o górach – zauważa Paula.

27.

Himmler jest w sanatorium Hohenlychen. Tuż przed sylwestrem czterdziestego czwartego roku kontaktuje się z nim pewien człowiek. Odsunięty, po klęsce frontu wschodniego, Himmler dostrzega w jego propozycji szansę. Czekal na taką okazję...

Wprawdzie jest jednym z najwierniejszych ludzi Hitlera, gotowym na rozkaz zastrzelić własną matkę, ale sytuacja bardzo się zmieniła. Człowiek odpowiedzialny za eksterminację milionów Żydów zdaje sobie sprawę, że przegrają. To oznacza odpowiedzialność, chyba że udałaby się operacja majora Hankego. Hitler z dnia na dzień jest przecież słabszy. Tak, Himmler aresztuje go, wyda światu i przejmie władzę. Przecież to jemu podlegają SS, tajne służby i policja, tymczasem Wehrmachtu za kilka miesięcy prawie nie będzie. Po udanym puczu wystarczyłoby wystąpić do aliantów z propozycją negocjacji, a w razie odmowy odpalić rakietę na Ruskich, wtedy alianci nie mieliby wyjścia. Niemcy nie przegraliby wojny. Dzięki argumentowi w postaci bomby można jeszcze doprowadzić kraj do zwycię-

stwa, i to w obliczu klęski. Po ataku nową bronią alian-
tom będzie zależało na porozumieniu i zakończeniu
działań.

Himmler stanąłby na czele nowej, Czwartej Rzeszy
Niemieckiej. Zająłby miejsce Hitlera, powołał nowy
rząd, stworzył Partię Jedności Narodowej. Przeniósłby
kosztowności i złoto do Argentyny, Szwajcarii, Hisz-
panii i Turcji, by wykorzystać ten kapitał do sfinanso-
wania startu zrujnowanej gospodarki. Volkswagen,
Krupp, BMW, Siemens i Messerschmitt otrzymałyby
bezzwrotną pomoc – tym samym on uzyskalby popar-
cie. Podjąłby współpracę z Anglią, Francją i USA.

28.

Niemieccy konstruktorzy od dawna pracowali nad
koncepcją *Amerika Bomber*. Messerschmitt miał Me
264, Junkers – Ju 390, a Hortenowie – latające skrzy-
dło Ho 229. Oprócz tego były jeszcze projekty Focke-
Wulfa i koncepcja Arado.

– Londyn albo Paryż? – dopytuje Hanke, pykając
fajkę.

– Uważam, że do tej misji żaden samolot się nie
nadaje – stwierdza Watz.

– A to dlaczego? – dziwi się Hanke, wypuszczając
kłęby dymu w kierunku sufitu.

– Jest kilka przyczyn – zabiera głos Watz, ponieważ
jest lotnikiem. – Zgadza się, że celem powinny być
Londyn, Paryż, Nowy Jork lub Moskwa. Ale nie dys-
ponujemy odpowiednią maszyną, aby to zrobić.

– Chwileczkę – odzywa się z wózka Koch. – Rozumiem, że atak lotniczy na Moskwę czy Nowy Jork jest niemożliwy, ale nad Londyn i Paryż nasze samoloty latają od początku wojny, prawda?

– Tak.

– W czym więc problem?

– Nie mamy odpowiedniej maszyny – powtarza Watz. – Żadna nie jest zdolna do bezpiecznego zrzućcenia takiego ładunku. A nie możemy sobie pozwolić na błąd. Luftwaffe nie da nam osłony, zresztą nawet gdyby dała, nie moglibyśmy wykluczyć zestrzelenia. Dlatego proponuję inne rozwiązanie.

– Jakie? – pyta Koch.

– Mój przyjaciel – Watz zawiesza wzrok na Diebnerze – Wernher von Braun pracuje nad rakieta. Powinniśmy ją wykorzystać.

– Rakietę? – odpowiada Koch, marszcząc czoło.

– Właśnie.

– Samolot można zestrzelić, a rakiety nie? Przecież połowa latających bomb nie dolatuje do Londynu! – argumentuje Koch.

– Braun modyfikuje A4 tak, aby zwiększyć zasięg. I to, moim zdaniem, jest odpowiednie rozwiązanie.

– No właśnie! – podłapuje Hanke. – Zasięg. Ile dziś mamy?

– Czteryście kilometrów.

– Na Paryż za mało – Hanke wydyma usta. – A szkoda.

– Na Londyn – zauważa Koch – wystarczyłoby, prawda?

– Za mało – opiera się Watz. – Wystarczyłoby pod warunkiem, że odpalilibyśmy raketę z Holandii, Belgii lub zachodnich Niemiec. Ale za kilka tygodni takiej możliwości, niestety mieć nie będziemy.

– No tak – zgadza się Koch.

– Być może jednak – prostuje od razu Watz – to się zmieni. Czteryście kilometrów dotyczy rakiety A4, którą produkujemy seryjnie. Ale prace nad *Amerika Rakete* są kontynuowane. Z tego, co wiem, udało się wystrzelić pocisk na ponad tysiąc kilometrów.

– O! – cieszy się Hanke. – To już coś!

– Zasięg jest drugorzędny – stwierdza Watz. – Istotne, że ta raketa leciała ponad pięćdziesiąt kilometrów nad ziemią.

– Ile?

– Nie przesłyszał się pan, majorze. Pięćdziesiąt kilometrów.

– Przecież to stratosfera! – wykrzykuje Hanke.

– Uhm. Czyli po odpaleniu rakiety już nie można jej zniszczyć.

– Teraz pana rozumiem – mówi Hanke, zaciągając się dymem.

– Ja również! – Koch pociąga z kieliszka. – Tak sądzę.

– Świetnie – pilot zaciera ręce. – Pamiętajmy jednak, że jest dzisiaj. A dzisiaj Aggregat to broń niedoskonała. Więc skupmy się na tym, co mamy. Innymi

słowy, czterysta kilometrów teraz, a za kilkanaście tygodni zobaczymy. W razie czego zmodyfikujemy plan.

– Słusznie – zgadza się Koch. – Najprawdopodobniej i tak będziemy musieli to zrobić, bo kiedy wyrzutnia, rakiet i głowica będą gotowe, zawęzi się obszar kontrolowany.

– Nawet gdyby Rosjanie dotarli nad Odrę – Hanke z fajką między zębami rozkłada mapę Europy Środkowej – to czterysta kilometrów wystarczy na ostrzeżenie Pragi czy Bratysławy.

– I Budapesztu – zauważa Kepke.

– Albo Lyonu – wtrąca Koch. – Gdybyśmy wyrzutnie umieścili gdzieś w Alpach.

– Francja odpada – odrzuca propozycję Watz. – Czas nagli. Na Alpy sobie nie możemy pozwolić. Potrzebujemy miejsca, z którego da się bezpiecznie odpalić pocisk. Musi być pewne i tajne, a także zapewniać przetrwanie, nawet jeśli sprawy potoczą się nie po naszej myśli i tereny wokół zostaną utracone, choć – macha ręką na ostatni warunek – akurat w tym przypadku to ma najmniejsze znaczenie.

– Dlaczego? – dopytuje Koch.

– Ponieważ mam już odpowiednią lokalizację. Co więcej – dodaje Watz – miejsce jest już częściowo przygotowane. Wystarczy dokończyć linię kolejową, zainstalować wyrzutnię i oprzyrządowanie. Tutaj – wskazuje punkt na mapie.

Przez chwilę slychać, jak tyka zegar i dopala się ogień. Kepke wstaje, podchodzi do kominka i dokłada kilka kawałków drewna.

– Stamtąd w grę wchodzi atak na Rosjan – odzywa się Watz.

– Musieliby być zgrupowani – dodaje Kepke. – A z tego, co wiem, rakiet von Brauna ma niewielką celność. Rozrzut, zdaje się, około półtora kilometra, prawda?

– Nie szkodzi – mruczy Watz. – To i tak nam wystarczy. Atak, nawet niecelny, będzie miał ogromne znaczenie propagandowe.

– Owszem – odpowiada Koch. – Liczy się efekt polityczny, a nie militarny.

– Jest zima – mówi Diebner. – Na wiosnę jestem w stanie przekazać dwie, trzy, a może cztery głowice o odpowiedniej mocy. O ile nie wystąpią nieprzewidziane przeszkody.

Nastaje cisza. Aromatyczny zapach palonego tytoniu unosi się nad głową Hankego, który wypuszcza kłęby dymu niczym lokomotywa tuż przed odjazdem. Kepke milczy, podobnie Koch.

– Trzeba przygotować wyrzutnię – odpowiada Watz. – I plan politycznego działania.

– W ciągu kilku tygodni zbuduję głowicę gotową do ataku radiologicznego, a potem skupię się na dwóch albo trzech głowicach rozpadowych – deklaruje Diebner.

– Zajmę się wyrzutnią – Watz podnosi rękę. – Będę potrzebował poparcia do pozyskania środków i siły roboczej.

– To nie problem – stwierdza Hanke.

– W takim razie – podsumowuje Watz – wy zajmijcie się polityką. Ja zrobię swoje.

29.

Wieczorem, po kolacji u księdza na dobre się wypogadza. Wprawdzie sosny przy drodze są wciąż mokre, lecz asfalt wysechl już w promieniach słońca przebijającego się przez korony. Jadą przez las, do Błotnicy.

Leśniczy jest trzeźwy. Siedzi na drewnianej ławeczce, grzejąc się w słońcu. Jego twarz szpeci długa blizna. Zadbana leśniczówka stoi tuż przy drodze na skraju wsi, obok stawu, otoczona niewielkim ogródkiem i sadem.

– O naszych górach?

– Między innymi. A to, proszę – mówi Jakub, podając piwo – na zachętę. Łatwiej będzie wspominać.

Starszy mężczyzna, wyraźnie zniszczony przez alkoholizm i ciężką pracę, lypie na Jakuba.

– Widzę, że pan umie rozmawiać z ludźmi – mówi, pozbywając się kapsla.

Częstuje ich papierosem, ale oboje dziękują. On zaś wyraża uznanie dla niepalących, zapala i pociąga z butelki.

– A czemu to do mnie pan z tym przychodzi, he?

– Podobno pan coś wie na ten temat – wyjaśnia Jakub.

– A co? Ludzie w Kamienicy nie chcieli mówić?

– Nie chcieli.

– Nie dziwię się – wzdycha. – Powiem panu – zaczyna, zniżając głos – ale lepiej, żeby nie zachęcał pan nikogo do wędrówek w to miejsce.

Słońce chyli się nad lasem ku zachodowi. Dym z papierosa spowija pomarszczoną śniadą twarz. Stary leśnik przez chwilę milczy, rozkoszuje się smakiem tytoniu, zaprawionym zapachem chmielu. Patrzy w wodę stawu.

– Starzy ludzie mówią – kaszle, a potem spogląda Jakubowi w oczy – że bywają takie miejsca, które lepiej omijać. Zastanawiał się pan, czemu tego szczytu nie ma na naszych mapach? Wszystkie wokół są, a tego nie ma. Jest tylko punkcik i wysokość. Na czeskich owszem, ale u nas nie... A ludzie opowiadają niesamowite historie.

– Jeśli już uda się kogokolwiek namówić do rozmowy – dodaje Jakub kwaśno. – Kiedy zadaje się miejscowym pytanie o tamtą górę, można usłyszeć tylko milczenie.

– Mają swoje powody – odpowiada stary. – Ale to już zupełnie inna historia. A góra? Hm – wydyma usta – ona mnie sama znalazła.

Jakub marszczy brwi. Leśniczy nie wygląda na szalonego. Może i sprawia wrażenie lachudry, ale z rozmowy wynika, że jest niegłupi.

– Pochodzę z Bielska – mówi dalej. – Przez czterdzieści dwa lata to było moje leśnictwo. Przyszedłem tu w sześćdziesiątym siódmym. To świeża sprawa była. Chłopaki z lasu porządne, więc ostrzegły mnie, żebym tego miejsca unikał. Śmiałem się. „Głupoty”, myślałem. Na początku nie wierzyłem. Szybko zmieniłem zdanie.

– Dlaczego?

– Wie pan, niby nic. Człowiek jak młody, to głupi, odważny. Odwaga i głupota to prawie to samo. Historię tamtych harcerzy znałem, ale nie chciałem się nad tym zastanawiać.

– Co się wydarzyło?

– Postanowiłem sprawdzić, o czym ludzie tak opowiadają. Miałem służbową wufemkę. To był najlepszy motor dla leśniczego, nigdy mnie nie zawiodł. Pojechałem tam na nim.

– W dzień?

– W południe.

– I co się stało?

– Zgasilem motor i położyłem po szczycie. I powiem panu, że niby normalny starodrzew, trochę chory, spalony, kamienie, jakieś ruiny, szopa, ale jakoś tak się dziwnie poczułem.

– Dziwnie?

– Nie umiem tego wyjaśnić. To miejsce ma w sobie w coś dziwnego.

– Co?

Rozmówca Jakuba uśmiecha się i zaciąga. Długa szrama, ciągnąca się od czoła, przez prawy policzek, aż do brody, czyni twarz starego surową.

– Nie wiem – kontynuuje leśnik, wzruszając ramionami. – To nieprzyjemne miejsce. Jest w nim coś niesamowitego. Straszne.

– No, ale co?

– Może to, że wyglądało na pogorzelisko?

– Pogorzelisko?

– Musiał tam być kilka lat wcześniej jakiś pożar. Albo kwaśny deszcz spadł. Zauważyłem jeszcze, że nie było żadnych ptaków. Nic. Kompletna cisza.

– Faktycznie dziwne.

– Wie pan – dodaje stary – tu, wysoko często można spotkać zbocze po kwaśnych deszczach, tylko drzewa iglaste. Normalka. Ale tam nie było ptaków. Ani jednego.

Jakub się uśmiecha. Leśniczy odwzajemnia uśmiech, choć jest w nim jakaś gorycz. Łyka trochę piwa, zaciąga się papierosem. Patrzy na szczyty w oddali. Las wydaje się cichy, spokojny. Przybiega młody kot, lasi się do starego.

– Nie chciało mi się wierzyć w to, co wygadują po knajpach. Myślę sobie: „Nagadali mi, dlatego tak się dziwnie czuję”. Ale kiedy postanowiłem wracać, motor nie chce zapalić. Próbuje na pych, z góry łatwo, ale nie pali. Odkręcam świecę, sprawdzam: iskra jest. Paliwo jest. A motor zapalić nie chce. Sprowadziłem go ze dwa kilometry, ale w dół łatwo. Docieram do drogi,

kopię w rozrusznik, a wufemka jak złoto, od pierwszego strzału zagaduje. Pyr, pyr, pyr.

– Hm.

– Myślę sobie: „A tam, nie chciała zapalić i tyle. Zalana była albo co. Przecież mi duchy motoru nie zepsuły!”. Ale jak sobie przypomniałem o ciszy, no i że ptaków nie było, to tak jakoś nie bardzo.

– Dziwne.

– Wkrótce uwierzyłem we wszystko, co ludzie gadali.

– Proszę mówić.

– To był luty siedemdziesiątego pierwszego. Dokładnie pamiętam, bo tamtego dnia o mały włos bym do trumny nie trafił. Pamiętam, że śnieg był, ale nie-dużo. Za to mrozem trzaskało. Wycinka była.

– Na Wysokim Kamieniu?

– Nie, nie, po polskiej stronie, ale niedaleko tej przekłętej góry. Zmarzłem, bo to inne czasy były, inne samochody. Jechałem z robotnikiem, gazika mieliśmy. Wie pan, tylko plandeka. Zimny jak diabli. „Szefie! – mówi do mnie pilarz. – Po cholere kilometry robić? Skróćmy drogę. Pojedziemy na Orłowiec, przełączą pod Kamieniem”. „Drogę znasz?” – pytam. „Znam” – odpowiada. To pojechaliśmy. Stara droga, poniemiecka. Dało się jechać. Na przełęczy nagle...

– Gazik wam zgasł? – Jakub z uśmiechem wyprzedza słowa leśniczego.

Leśniczy kręci głową. Widać, że nie jest mu do śmiechu. Poprawia siwawe włosy i bierze łyk piwa, a potem ścisza głos.

– Do dzisiaj nie wiem, co się stało. Samochód uciekł tyłem, a przecież wolno jechaliśmy. I ile mogliśmy mieć: dziesięć, dwadzieścia kilometrów na godzinę? Jak można szybko jechać gazikiem po lesie w zimie? Kręcę kierownicą, dodaję gazu i nic. Nagle huk. Trzask jak cholera.

– Co się stało?

– Auto się zatrzymało. Na drzewie. I przy uchu, tak żebym panu nie skłamał, z tyle – pokazuje między dłońmi pięć centymetrów – widzę gałąź na wysokości oka.

– No, a ten drugi?

– Jasiek pilarz?

– Tak.

– Kupiłem mu wieniec. A na pogrzebie się dowiedziałem, że parę dni wcześniej lewiznę tam w nocy robił.

– W nocy.

– Właśnie – potwierdza leśnik. – To nie był wypadek. Ta góra go ukarała, a mnie ostrzegła, żebym się nie zbliżał. I powiem panu, że teraz, po ponad czterdziestu latach, nie mam wątpliwości. Niech się ludziska śmieją, ja swoje wiem, jak mało kto. Tamte chłopaki, Jasiek, potem Mietek Zarzeczny, bliźniaki od jego brata, wreszcie sam brat. A jak się zastanowić, to kto wie, czy jego baba to też nie z powodu tej góry? No, i wo-

pista. Wszyscy nie żyją. Wszyscy, co po zmroku tam byli, dzisiaj nie żyją – powtarza.

30.

Krajowa czterdziestkaszóstka z Paczkowa do Nysy jest malownicza. Zupełnie inna niż w szalejącej śnieżycy. Panorama gór nad jeziorami ma dużo uroku. Przed nimi bez mała trzydzieści kilometrów. Jakub za kierownicą zastanawia się nad słowami dziewczyny. „Ile czasu potrzebuje karetka, aby dojechać do pacjenta, na przykład z zawalem, kiedy o życiu decydują minuty?” – myśli. On sam jedzie prawie pół godziny.

– Kiedyś był szpital – odzywa się Paulina, jakby czytała mu w myślach. – Na Staszica. Ale kiedyś. Dawno. Teraz... Teraz to już historia.

– Polska.

– Tak, biedna, smutna polska prowincja.

Jakub kiwa głową. Cóż ma powiedzieć? Ona ma rację.

Na szczęście w szpitalu bez trudu znajdują Leszczyńskiego. Leży na wznak, ciężko oddychając z półprzymkniętymi oczyma. Ten widok nie napelnia ich nadzieją.

– Po co przyszliście?

– Panie Leszczyński – mówi cicho Paula – poznać mnie?

– No pewnie. Co miałbym nie poznać? Ty od Modraka jesteś.

– Tak.

– A jak ci tam? – charczy. – Helena chyba. Dobrze pamiętam? Hela jesteś?

Dziewczyna rzuca swojemu towarzyszowi wymowne spojrzenie.

– Chciałam zapytać o wydarzenie z pana młodości. Pomoże pan?

– A czemu miałbym nie pomóc. Pewnie, że ci pomogę, Hela, choćby przez wzgląd na Heńka. Tylko mi powiedz – lypie okiem na Jakuba – ten z tobą to kto?

– Mój przyjaciel. Historyk.

– Jakub Wróblewski. Przyjechałem z Krakowa.

– Z Krakowa – wzdycha stary. – Nigdy nie byłem. I już nie będę. Co chcecie wiedzieć?

Dziewczyna wyluszcza sprawę. Wydaje się, jakby Leszczyński starał się słuchać, ale myślami był gdzie indziej. Prawdę mówiąc, Jakub nie wierzy, że cokolwiek się od schorowanego staruszka dowiedzą.

– A czemu do mnie z tym przychodzicie, co? – stary akcentuje ostatnie słowo. – Zresztą, niech to diabli! Powiem, jak chcecie. Jednego pamiętam, drugiego nie. Ten pierwszy zbiegł tutaj. Do nas, do Kamienicy.

– A drugi?

– Na tamtą stronę – wskazuje okno. – Do Złotego Stoku.

– Co jeszcze pan pamięta?

– Wszystko.

W ustach człowieka, który myli matkę z córką, a na dodatek leży w szpitalnym łóżku, nie brzmi to wiarygodnie.

– Nie było z nimi kontaktu – zaczyna Leszczyński.
– Od tego chłopaka niczego nie dało się wyciągnąć. Siedział wpatrzony w ścianę i tylko mamrotał. Dopiero po kilku dniach opowiedział, co się stało.

– Co powiedział?

– Diabli z tym! Hela, on zwariował. A wariat, wiadomo, nie wie, co mówi. Choroba jak każda. Nie wybiera: młody czy stary.

– A skąd wiecie, że zwariował?

– Po tym, co mówił. Coś mu się śnić miało co noc.

– Pamięta pan co?

– Nie – krótko odpowiada stary.

Jakub słucha uważnie, stara się jak najwięcej zapamiętać. Nie wiadomo dlaczego czuje, że ten człowiek dużo wie.

– Chociaż czekajcie. Pamiętam, jak mówił o jakiejś malej postaci.

– A coś więcej?

– Mówił, że ona cały czas z nim jest, że ją widzi. Miała na imię... Nie pamiętam. Nie pamiętam, cholera. Coś na „a” chyba. Wyleciało mi z głowy. Ale mówił, że to ona.

– Ta postać?

– No, przecież mówię. Opowiadał, że przygląda się, jak umierają.

– Coś więcej?

Stary zamyka oczy. Jego pierś miarowo unosi się i opada. Przez chwilę cała trójka milczy, pogrążona w myślach. Leszczyński sięga w rejony pamięci, których

dawno nie odwiedzał – najstraszniejsze przeżycia staramy się przecież odłożyć do szuflady wspomnień, której nie mamy ochoty otwierać.

– A potem – wzdycha – jakoś na następną niedzielę uciekł ze szpitala. Rano znaleźli go w Kamienicy, jak na poranną mszę do kościoła szli. Powiesił się na lipie przed wejściem na cmentarz. Wiesz której?

– Obok krzyża?

– O, właśnie! Tej. Zresztą tamtej nocy ktoś wyrył na tym krzyżu napis. Pewnie on.

– Jaki napis?

Stary myśli przez chwilę. Marszczy czoło, sapie, wreszcie wzrusza ramionami.

– Aaa... – nie kończy. – Nie pamiętam. Zabij, He-la. Nie umiem sobie przypomnieć.

– Myślicie, że on to zrobił? – pyta Paulina, choć ani ona, ani Jakub nie wierzą, że uda im się jeszcze cokolwiek dowiedzieć. – Ten napis?

– Nie wiem. Może on, a może nie on? Diabli wiedzą.

Jakub przez chwilę patrzy na dziewczynę.

– Panie Leszczyński – mówi – dlaczego ten chłopak to zrobił?

– Zwariował chyba, ale na mój gust to... – przerywa – zresztą, nie wiadomo. Ludzie różne rzeczy opowiadają – twarz starego nagle nabiera chytrego wyrazu.

Jakub jest pewien, że Paulina też to zauważa.

– Wiecie – mruży Leszczyński – po wojnie różni się tu osiedlili. Każdy opowiadał, co mu ślina na język

przyniosła. Ludziska widzieli duchy, bandy w górach, strzygi i różne, różniste historie opowiadali, bo też i niejedno widzieli. Swoje za uszami też mają.

– To znaczy?

– A wie pan – malutkie oczy starego obrzucają Jakuba spłoszonym spojrzeniem – na cmentarzu groby niemieckie były. Jak na krzyżu zdjęcie było, to krzyż ku murowi odwracali. Nagrobki kradli. Grobowce rozbierali, a potem stajnie, obory i chlewy z tego robili. Marmurowe nagrobki wywozili. Ech – wzdycha – i nie tylko.

– Co jeszcze?

– Przez wioskę różni się przewinęli – stary nie odpowiada, zmienia temat. – Niemcy, Polacy, Ruscy. Żydzi nawet. Sam przecież widziałem.

– No właśnie – wtrąca Jakub. – Który pan jest rocznik?

– A co wy tacy ciekawscy?

– Pytam, bo pan powinien dużo z tamtych czasów pamiętać.

– Bo i pamiętam.

– Dlatego tu przyszedłszy. Musiał pan jakoś wtedy służbę zacząć, prawda?

– Dopiero zacząłem – odpowiada niechętnie staruszek. – Rok służyłem, jakoś tak. Ale to inne lata były.

– Jak to inne? Chce pan powiedzieć, że to się nie wydarzyło w sześćdziesiątym szóstym?

– To po wojnie było.

– Po wojnie? – dziwi się Jakub. – Ludzie mówią, że w sześćdziesiątym szóstym.

– Ludzie różne rzeczy opowiadają. Ja wam mówię, to po wojnie było.

– Ile pan miał wtedy lat?

– Lepiej, żebyście się tą sprawą nie zajmowali – Leszczyński mruży oczy, wpatrując się w mężczyznę towarzyszącego Paulinie.

– Dlaczego?

– Lepiej dla was. Dobrze wam radzę. Prawda nie zawsze jest prosta – na pomarszczonej twarzy pojawia się dziwny wyraz. – I nie zawsze ładna. Ludzie żyją dalej, a tamtym – znów wzdycha – już nikt życia nie wróci. Tylko świeczkę można zapalić. *Zdrowaś, Mario* odmówić. Hela, słyszysz?

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Nic Hela, nic. Jeszcze nie czas. Lata minęły, mnie już niedużo zostało, ale wam dobrze radzę – podnosi głos. – Jak będziecie pytać, wrogów sobie narobicie i tyle. Idźcie już. Dajcie mi umrzeć – odpowiada. – I ojca swojego, Hela, pozdrów.

W jego spojrzeniu widzą błysk życia. Jakub dostrzega coś jeszcze: łzy.

31.

Niebo na wschodzie szarzeje, kiedy wchodzą do środka. Wnętrze starego kościoła w Kamienicy, pogrążone w ruinie, uderza w nozdrza zapachem gnijących liści, kurzu, mokrego drewna. Świątynia ma eliptyczną

nawę główną, nad którą znajdują się dwie dodatkowe kondygnacje. Musiał tam być chór, podparty rzędem marmurowych kolumn, okalający całą nawę oprócz prezbiterium.

– Słyszysz? – szepcze Jakub.

– Co?

– Te szmery.

Nad nimi, pod półkolistym sklepieniu coś się wznosi w powietrze. Zadzierają głowy, lecz nic nie widzą. Czują nieprzyjemny dreszcz.

– To tylko sowa – dziewczyna dostrzega sylwetkę ptaka wylatującego przez okno bez szyby.

– Widać nie tylko mnie się tu podoba.

Zza chmur wychodzi słońce, wewnątrz się rozjaśnia. Promienie, padające na podłogę pod ostrym kątem, rozcinają je na warstwy. W powietrzu wirują drobiny kurzu.

– Pięknie tu.

– Uhm.

Światło migocze na zdewastowanych ścianach i podłodze pokrytej gruzem. Połączenie starego drewna, popękanego muru i resztek fresków sprawia, że w tym niegdyś pięknym wnętrzu Jakub znów czuje się nie-swojo. Zamyka oczy, wyobraża sobie świątynię w latach jej świetności.

– Co się tutaj stało?

– Wiem jedynie – odpowiada Paulina, wzruszając ramionami – że zaraz po wojnie ci Niemcy, którzy nie byli katolikami, zostali tutaj skoszarowani.

– Co masz na myśli?

– Tylko tyle, że byli ewangelikami.

Jakub rozgląda się dalej. Żałuje, że nie wziął latarki. Przechodzi kilka kroków w kierunku prezbiterium. To, co powiedziała dziewczyna, wydało mu się dziwne.

– Może ktoś ze starszych mieszkańców wsi coś wie na ten temat, co?

– Uhm, uwielbiają z tobą rozmawiać – Paula, wpatrzona w napis na murze, pozwala sobie na kpinę.

Obraca głowę: Jakub trzyma brudną, starą chusteczkę. Pod światło widać jednak, że nie jest to zwykła chusteczka.

– Czy to opaska?

– Uhm. Na ramię – mężczyzna nie wie, czemu ścisza głos. – Przyjrzyj się.

– To swastyka?

– Na to wygląda.

– Dziwne. Widziałeś kiedyś coś takiego?

– Widziałem opaski z gwiazdą Dawida, ale to...? – Jakub wydyma usta. – Opaski były elementem umundurowania, lecz zdaje się, że raczej ładniejsze.

– Tutaj musiało się wydarzyć coś dziwnego.

– Co masz na myśli?

– Kto by tu zostawił taką rzecz? – Paula wskazuje opaskę. – Nie wydaje mi się, żeby to było wspólczesne.

– Więc pochodzi z czasów wojny.

– A ponieważ po wojnie byli tu zakwaterowani Niemcy, to najwyraźniej należało do nich.

– Jak sądzisz, Niemcy wymyślili sobie, że będą nosić takie opaski?

Dziewczyna nadal wpatruje się w materiał, a Jakub idzie w głąb kościoła, krok za krokiem. Rozgląda się, ale niczego więcej nie znajduje. Patrzy w górę i znów dostrzega coś, co w ciszy lata nad ich głowami. Po chwili orientuje się, że to nietoperz. Nagle czuje chłód.

– Czy teraz już wierzysz? – słyszy za sobą gardłowy głos.

– Co powiedziałaś? – mówi, odwracając się do Pauliny.

– Nic nie mówiłam.

– Nie żartuj!

– Nie żartuję – odpowiada dziewczyna poważnie, on zaś wie, że to prawda. – Niczego nie mówiłam. Znów coś słyszałeś?

– Lepiej chodźmy, późno już.

Opuściwszy ruiny, wracają do samochodu. Jeden z najwyższych zachodnich szczytów Gór Złotych zasłonił już niemal w połowie czerwoną tarczę słońca. Wraz z silniejszym powiewem wiatru Jakub czuje wyraźnie woń spalenizny i przypomina sobie o stodole.

– To chyba tam się stało, prawda? – wskazuje na pogorzelisko.

– Tak.

– Ile miał lat?

– Nie jestem pewna. Podobno dziewięćdziesiąt.

– Słuszny wiek – Jakub kiwa głową z uznaniem. – A nie uważasz, że to dziwne?

- Że tyle przeżył?
- Że spłonął w starej stodole?
- To nie była zwykła stodoła. Należała kiedyś do ewangelickiej parafii, wraz z tym – Paula wskazuje ruiny, w których myszkowali. – Tam była izba pamięci. Wiesz, takie lokalne muzeum.
- Muzeum czego?
- Wsi.
- Co tam było?
- Zdjęcia, mapy, dokumenty, archiwa, pamiątki po Niemcach, którzy tutaj kiedyś żyli. Jakies sprzęty gospodarstwa domowego, szpargały.
- A babcia?
- Nie znalazłam jej. Wiem tylko tyle, że umarła, zanim się urodziłam. Moja mama też jej nie знаła. Mamę zabrali dziadkowi, wychowała się w domu dziecka.

32.

Gdy ze wschodu zaczęli napływać uchodźcy, uświadomiono sobie, że Dolny Śląsk będzie schronem Trzeciej Rzeszy. Wytyczono kolejne linie obrony. Szef sztabu Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych generał Guderian ogłosił, że Królewiec, Poznań, Głogów, Gdańsk, Wrocław i Opole staną się twierdzami.

W połowie stycznia wojska radzieckie przeszły do operacji wiślańsko-odrzańskiej. Rosjanie przeciwstawili dwa miliony dwieście tysięcy żołnierzy czterystu tysiącom żołnierzy niemieckich. Na każdy czołg Rzeszy przypadło ponad sześć radzieckich, na jej działą –

dziewięć wrogich, a na samolot z czarnym krzyżem na skrzydłach – dwanaście tych z czerwoną gwiazdą.

Czternastego stycznia wyzwolono warszawską Pragę, a siedemnastego – całą polską stolicę. Dzień wcześniej Niemcy opuścili Częstochowę, nazajutrz wycofali się z Krakowa. Kilka dni później Rosjanie zajęli Bydgoszcz, Gliwice i prawobrzeżną część Opola. Obrońcy byli oczywiście świadomi porażki, ale groźba rozstrzelania nie dawała wyboru. Tymczasem organizacja Freies Deutschland od kilku tygodni konsekwentnie realizowała Noc Walpurgii.

Kilka dni po spotkaniu Kocha, Hankego i Kępego z Kurtem Diebnerem i Heinzem Watzem, o dziewiętnastej, niejaki Hans Ramen w swoim wrocławskim mieszkaniu odbiera telefon. Po krótkiej wymianie zdań odkłada słuchawkę, następnie wyjmuje z szuflady P-38 o skróconej lufie i wkłada pistolet do skórzanego kabury, którą ukrywa pod welnianym swetrem. Wychodzi na kilkunastostopniowy mróz. Dokładnie, gdy zegar wybija dwudziestą pierwszą, w umówionym miejscu u zbiegu Schwo i Rynku pojawia się mężczyzna około pięćdziesiątki.

– Przepraszam najmocniej – zagaduje – zapomniałem papierosów. Może poczęstowałby pan jednym?

– Niestety. Rosjanie są tak blisko, że o papierosy trudno.

Ich niepewne spojrzenia na chwilę się spotykają. Nieznajomy, ubrany w płaszcz i futrzaną czapkę, ma w sobie coś, co pozwala widzieć w nim żołnierza. „Wy-

prostowana sylwetka? Sposób mówienia?” – zastanawia się Ramen.

– Może to czas, aby rzucić nałóg?

– Próbowałem pięć razy. Udawało się na tydzień – pada rozpoznawcze zdanie.

Na twarzach pojawiają się krótkie uśmiechy. Mężczyźni muszą się spieszyć: zimna, styczniowa noc w milionowym mieście twierdzy przygotowującym się do oblężenia nie jest bezpieczna. Gauleiter rządzi twardą ręką, bezlitośnie. Każdego oskarżonego o sprzeciwienie się jego rozkazom, defetyzm albo kwestionowanie sensu obrony Festung Breslau czeka wyrok śmierci.

– To jest to, czego będziesz potrzebował – mówi mężczyzna do Ramena, podając mu grubą kopertę. – Dokumenty dla ciebie i kobiety. Mapa, książka szyfrów i dalsze instrukcje. Samochód odbierzesz jutro.

Żegnają się skinieniem głowy. Nigdy więcej się nie spotkają. Ramen po powrocie natychmiast telefonuje do Klary Bittner.

– Zbliża się Noc Walpurgii.

– Więc jednak?

– Wiesz, co dalej robić?

– Jestem gotowa.

Dwa dni później wyjeżdżają na południe. W samą porę, bo za kilkanaście dni gauleiter Śląska wyda rozkaz ewakuacji i z miasta ruszy pochód uciekinierów. Pierścień radzieckiego oblężenia będzie się nadal zaciśkał, wreszcie rozpocznie się jedna z ostatnich bitew drugiej wojny światowej.

33.

Znów zapowiada się piękny, słoneczny dzień. Rankiem Jakub słyszy ptaki. Wybrawszy się, jak co rano, na śniadanie, spotyka znajomą staruszkę, tę, którą niemal potrafił w śnieżycy. Teraz, w słońcu, widzi ją przygarbioną, niziutką i jeszcze drobniejszą.

– A, to pan! – mówi kobieta. – Nie poznałam, będzie pan bogaty.

– No nie wiem, pani Gawlasowa – Jakub przypomina sobie nazwisko wymienione przez Paulę. – Chyba już nie będę, zresztą nawet nie chcę. Za to interesuje mnie pewna sprawa. Może pani będzie wiedziała i mi pomoże?

– W czym? – stara spogląda na niego przymrużonymi oczami.

– Mam parę pytań.

– Po co ci to wszystko? – twarz Gawlasowej nabiera strasznego wyrazu. – Życie ci niemile?

– Nie rozumiem – dziwi się Jakub.

– Ten, kto widział śmierć jak normalną rzecz, bał się jej nie będzie! Ja się nie boję, ale dobrze ją znam. I widzę. A ludzie gadają! Swoje wiem. Lepiej pożegnaj się z przeszłością!

– Jak mam to rozumieć?

– Ostrzegałam cię, pamiętasz? Mogłeś zawrócić. Teraz lepiej zapomnij. Dobrze ci radzę – syczy. – Tamtym – wskazuje spojrzeniem góry – nikt życia nie zwróci. A ludzie gadają.

– Co gadają?

– Swoje wiem. Zapamiętaj! Jeszcze nie wszyscy pomarli.

– O kim pani mówi?

– Chodź, Murzyn – woła stara i raz jeszcze lypie oczami na Jakuba. – Chodź.

Macha pięczkiem ziół. Cienkie siwe włosy, spadające wokół chudej twarzy aż do ramion, potęgują upiorny wygląd pomarszczonej twarzy. Kobieta szarpie smyczą czarnego kundla, jak zwykle szczerzącego kły na Jakuba.

– Pomyśl o tym – szepcze czarownica. – Dobrze ci radzę.

34.

Natychmiast po apelu ruszamy na zachód. Na szczęście mróz zelżał – teraz, kiedy zaświeciło słońce, ale wieczorem znów będzie poniżej minus dwudziestu stopni. Mijamy wsie i miasteczka. Nasz szlak znaczą ciała tych, którzy nie wytrzymali. Pod stopami owiniętymi w szmaty skrzypi śnieg. Białe iskierki skrzą się na miękkim dywanie pokrywającym drogi, ogrody, pola. Idziemy wolno, kolumną, czwórkami. Po niemiecku, porządnie. Jeden za drugim. Jak cienie. W ciszy. W pasiakach, poowijani czym tylko się da. Pochód ludzi, których od zmarłych odróżniają tylko oczy, błyszczące przejawy życia.

– Maszeruj albo giń! – to powiedzenie jednego z oprawców. – *Schneller! Los!* – komendy mieszają się z widokiem zwłok w rowach, na poboczach.

Nie ma czasu, by patrzeć kto. Nie ma czasu, by się pożegnać. Jedno spojrzenie, jedno wahanie może oznaczać śmierć. „Maszeruj albo giń” to ich *credo*. Dzień, noc, dzień, noc. Marsz, odpoczynek, marsz, odpoczynek. Ciągłe dalej, dalej i dalej. Na zachód. Za dnia, czasem nocą.

– Do Gross-Rosen. Do Czech. Do Austrii – wieczory przynoszą szept. – Nieważne, byle dalej od Rosjan.

– Zauważyliście – ktoś odważa się odezwać – jak oni się spieszą?

– I co z tego? – odbija się od ust popękanych na mrozie.

– Rosjanie muszą być już blisko.

Śmierć też jest blisko. Blżej niż można to sobie wyobrazić. W każdym kroku. W każdym oddechu, w ciżbie rozciągniętej długim sznurem wzdłuż torów, dróg, na mostach. Idziemy przy akompaniamencie szczekania psów i falujących okrzyków tych, którzy nas prowadzą. Wysokie, skórzane buty. *Totenkopf* na czapce, dwie runy na patce. I te wyrośnięte niemieckie baby z zaciętymi twarzami oprawczyń. Wymachują pejcami, szczują wilczury.

– Jak pan tu trafił?

– Ze Starego Miasta – odpowiadam, choć to zabiera mi siły.

Coś jeszcze slysze, ale nie odpowiadam. Zmęczenie jest wszędzie, ośpienie tak samo. Dni podobne do siebie. Ludzie niepodobni do ludzi. Mróz, głód, ból,

sen – to dziś ważne. Grunt to utrzymać tempo. Pytania już nie padają. Iść wewnątrz szeregu, bo każde potknięcie opóźnia marsz, powoduje interwencję eskorty. A to może oznaczać koniec. Śmierć. Wystarczy jedno spojrzenie. Przestraszone oczy.

Pies rzuca się na kogoś. Krzyk. Huk. Śmiech. Placz. Niemy gest. Bezradność, kiedy wiadomo, że jeśli nie ma się siły iść, to oznacza jedno. Trzeba iść dalej. Strzał. Słysząc je co jakiś czas, później zostaje różowa plama parującej krwi na ubitym śniegu. Zaraz ktoś ją podepcze. Za chwilę wszystko znów skuje mróz. Kawalkada przesuwa się szybko, nie może stanąć. Dobrze, że to nie ja. Że tym razem to jeszcze nie ja.

– Wie pan, tutaj niedaleko jest was więcej.

– Nas?

– No, was – mówi jakaś kobieta. – Z powstania. Ze trzydzieści kilometrów dalej jest obóz. Lamsdorf.

– Skąd pani wie?

– Słyszałam, jak strażniczki dzisiaj mówiły. Podśluchałam. Znam niemiecki.

Wreszcie wieczór. Dzięki tej kobiecie wiem, które dy idziemy, chociaż nic mi ta wiedza nie dałej. Zmierzamy na zachód. Pochód cieni dociera do jakiejś wsi. Jej nazwa jest bez znaczenia, tak jak inne. Dürr Kundendorf, Langendorf, Borkendorf, Mösen, Barzdorf. Istotne, że się udało. Że kolejny dzień jestem żywy, a teraz można odpocząć.

Lokują nas obok kościoła. Widzę Niemców na wozach, oni też uciekają. Miejsca w stodołach nie ma. Pozajmowały je te kurwy, więźniarki kryminalne. Trzeba będzie nocować na dworze. Pojawia się ksiądz, ewangelik. Rozmawiają.

– Tutaj! – wskazuje esesman. – Spać tutaj – mówi, wskazując szopę lufą schmeissera.

Te słowa są jak zbawienie. Układamy się jeden obok drugiego, na sporej ilości słomy. Blisko siebie, bo tak cieplej. Nim sen zamknie powieki, do głowy cisną się myśli. Jest jeszcze styczeń czy już luty? Który już dzień idziemy? Tydzień, dwa tygodnie? Słysząc, jak w górach wieje wiatr.

35.

Berner siada za biurkiem. W bladym świetle żarówki kreśli atramentem słowa: *Byłem dziś w Patschkau. Kiedy wróciłem na plebanie, okazało się, że stajnie są pełne koni. Przed plebanią wozy wypełnione po brzęgi uciekinierami z Breslau. Front dotarł już do Kandrżin. Rosjanie są w Groß-Strehlitz, Kreuzburg, Namslau, Kempen, Loben, Gleiwitz. Mówi się, że w Oppeln są już od kilku dni na prawym brzegu Oder. Mordują i gwałcą jak wszędzie. Ludzie uciekają z pozostałych miast i giną od mrozu. Wszędzie pod śniegiem trupy. Są u mnie niejaki Hans Ramen i Klara Bittner. On podaje się za funkcjonariusza państwowego, ona podobno jest jego asystentką. Nie ufam im.*

To, co zobaczyłem, poruszyło mnie do głębi. Wstrząsające. Nigdy nie widziałem takich ludzi. Było ich mniej więcej sześć-

dziesięciu. Szli w kilku grupach. Potem przeszli jeszcze inni, ale się nie zatrzymywali. Wisiaty na nich strzepy ubrań, owijali się brudnymi szmatami. Wszyscy głodni, z oczami zapadłymi w twarzach. Szukali litości i wyciągali ręce po jedzenie. Większość z nich zamiast stóp miała zaropiałe, potworne rany – pozawijane, czym tylko się dało.

We wsi zrobił się niesamowity ruch. Wieczorem przyszło do mnie kilku starszych gospodarzy – pod pretekstem omówienia czegoś, ale tak naprawdę zamierzali spać tych młodzików. Wreszcie im się udało i kobiety mogły podać więźniom ugotowane ziemniaki albo kawałki chleba. Panie, dziękuję Ci, że pozwoliłeś pomóc. Co dziwne, podziękowali nam, ale zjedli tylko trochę. Resztę natychmiast upychali w ubraniu, gdzie się dało. Dostali też od nas jakieś ubrania. Niektórzy to Niemcy. Rano jeden poprosił gospośnię o sól. Wyciągnął dłoń. Powiedziała potem, że nie wiedziała, co ma zrobić. Trzymał przed sobą siną, popekana rękę. Nie miała serca sypać na ranę. Chciał szczyptę, dała mu całą torebkę, a potem się rozplakała. Dostrzegł to najmniejszy z pilnujących. Pogroził gospośnię pistoletem, po czym dodał z machnięciem ręki i dobrotliwym uśmiechem:

– To i tak nic nie da. To wszystko – wskazał łufą – na szmelc. Mało który będzie żył. Tylko ci, co mogą pracować.

Tu, u nas zostawili najzdrowszych. Pozostałych uformowali w kolumny. Ruszyli w kierunku Reichenstein. Podobno pędzono ich aż z okolic Krakau. Są w drodze od siedemnastego stycznia. Szlak ich wędrówki znaczą ciała. Odkąd przeszli, wszędzie są zwłoki. Zaczęliśmy je zwozić na cmentarz. Gdy pojawił się Węgier w mundurze SS-unterscharführera, wściekł się i zabronił pochówku. Mieliśmy zakopać ich tam, gdzie upa-

dli, w rowach, przy drodze albo w polu. »Przejdzie jeszcze wiele kolumn « – mówił. Półżartem dodał, że jak zechcemy ich chować, szybko zabraknie nam miejsca. Kiedy zobaczył, że mamy na cmentarzu już przygotowany dół, uległ. Ale bez mszy i grobu. Mieliśmy tylko wyrównać ziemię. Było ich trzynastu. Potem zaczęły wolno spływać do nas wiadomości z okolic. W Gesefß pochowano dwa ciała, w Kalkau – dwadzieścia trzy, w Mösen – jedenaście. W Altwalde – aż sześćdziesiąt jeden. W Jauernig są dwa groby. W jednym pochowano trzech ludzi, w drugim – pięciu. Grentzał (†), 30 stycznia 1945 r.

Notatka zapisana trzy miesiące później głosi: Budują coś w górach. To już pewne. To już nie są plotki. Może kończą to, co Czesi zaczęli przed wojną? We wsi po cichu mówi się, że to organizacja wojskowa się tym zajmuje. Bardzo często słychać wybuchy. Od strony Reichenstein poprowadzili linię kolejową. Podobno tor od Reichenstein znika w zboczach, ale co dalej, nie wiadomo. Na pewno biegnie w stronę gór. Doniesiono mi, że miesiąc temu przejechał tamtędy pierwszy pociąg. Z innego źródła dowiedziałem się, że od kilku dni pociągi jeżdżą tamtędy regularnie. Podobno towarowe. Zawsze posuwa się z nimi ta sama lokomotywa, opancerzona i mocno uzbrojona. W Weißwasser jeńcy budują bocznice. Chłopiec usługujący mi do mszy twierdzi, że jest tam więcej niż jeden tor. Powiedział też, że ten, który prowadzi w górę, ma trzy szyny. Boję się, że to, do czego się tam przygotowują, może być przekleństwem dla mojej parafii. Grentzał, 25 marca 1945 r.

Aleksander Sowa (ur. w 1979 r. w Paczkowie) pisarz niezależny, wydawca i self-publisher. Laureat nagród: głównej plebiscytu internautów *Najlepsza książka na lato 2010 portalu Granice.pl* za powieść pt. „**Jeszcze jeden dzień w raju**” oraz drugiej plebiscytu *Najlepsza książka na jesień 2010 portalu Granice.pl* za powieść pt. „**Era Wodnika**”. Zdobywca nagrody głównej w *Ogólnopolskim Konkursie Literackim Mój Belfer 2012* za opowiadanie pt. „Tak jest kapitanie!” opublikowane w zbiorze „**Do widzenia**”. Jako jeden z pierwszych autorów w Polsce wykorzystał do samopublikowania serwisu Amazon Kindle Publishing oraz [Smashwords](#). Jego debiutancka powieść „**Umrzeć w deszczu**” jest pierwszą polską powieścią wydaną na papierze a następnie sprzedawaną w Amazon jako e-book.

Strona autora: www.wydawca.net

Jeszcze jeden dzień w raju

Aleksander Sowa



nie czytaj tej książki, jeśli nie chcesz aby Twoja
ulubiona ~~czarna dziewczyna~~ była jeszcze czarniejsza,
nie czytaj jej jeśli na zawsze nie chcesz
mnie znienawidzić.



ERA WODNIKA

Aleksander Sowa

ALEKSANDER
SOWA

Umrzeć w deszczu

Tylko w marzeniach możemy być
naprawdę wolni

Aleksander Sowa

DO WIDZENIA

Zwycięza nagrodzone w ogólnopolskim konkursie literackim
„MOJ BECKER” opowiadanie pt. „Tak jest, kapitanie!”

www.facebook.com/aleksander.sowa